

CAROLINE ANDERSON

Pokonać czas



***Harlequin*®**

Toronto • Nowy Jork • Londyn
Amsterdam • Ateny • Budapeszt • Hamburg
Madryt • Mediolan • Paryż • Praga • Sofia • Sydney
Sztokholm • Tokio • Warszawa

ROZDZIAŁ PIERWSZY

W tym roku pogoda spłatała wszystkim nieprzyjemny primaaprilisowy żart.

Lizzi wyrzała rano przez okno i zobaczyła, że wszystko pokryte było grubą warstwą śniegu.

Jadąc do pracy, uprzytomniła sobie, że czeka ją ciężki tydzień. Te pogodowe anomalie na pewno spowodują wiele wypadków samochodowych i w szpitalu będzie mnóstwo pracy. Najbardziej będą przeciążone oddziały ortopedyczne, ale i u nich na chirurgii z pewnością będzie co robić. Zastanawiała się właśnie, gdzie znajdą miejsce dla wszystkich nowo przyjętych pacjentów, kiedy nagle poczuła, że traci panowanie nad kierownicą. Jej mały samochód zupełnie wymknął się spod kontroli, skręcił gwałtownie w bok i wjechał na zaparkowany obok pojazd.

Przez moment patrzyła przed siebie, a potem wysiadła, żeby zobaczyć co się stało.

- Do diabła! - zaklęła pod nosem.

Zderzak i jeden reflektor nadawały się do wymiany, ale w tej chwili nie było to największe zmartwienie. Z przerażeniem popatrzyła na ciemnozielonego daimlera, na którym właśnie przed chwilą się zatrzymała. Obeszła go dookoła i zajrzała do środka. Na skórzanych siedzeniach było pełno śmieci i Lizzi pomyślała, że ktokolwiek jest właścicielem tego pięknego auta, zupełnie nie zasługuje na nie. Jej własne metro, choć kupione w sierpniu, cały czas wyglądało jak nowe. No, powiedzmy, że wyglądało tak jeszcze kilka minut temu!

Z ciężkim westchnieniem usiadła za kierownicą, ostrożnie cofnęła samochód i zatrzymała się przy krawężniku. Potem sięgnęła po notes i zapisała na kartce numer swojego telefonu. Ponieważ nie dostrzegła za przednią szybą daimlera przepustki dla personelu, napisała kilka słów o skutkach, jakie niesie za sobą parkowanie pojazdów w niedozwolonych miejscach.

Włożyła kartkę za wycieraczkę i skierowała się w stronę wejścia do szpitala.

Było już zbyt późno, żeby napić się kawy w świetlicy, więc poszła prosto na oddział.

Już przy wejściu zauważyła sporo nowych twarzy. Dostrzegła też, że wielu pacjentów przeniesiono na inne sale. Z niezadowoleniem zmarszczyła brwi. Woląta, żeby jej podopieczni możliwie długo pozostawali w jednym pokoju, gdyż znacznie skracało to okres rekonwalescencji. Zbyt częste zmiany wprowadzały niepotrzebny zamęt i opóźniały proces powrotu do zdrowia.

Weszła do szatni. Zdjęła płaszcz i podwinęła rękawy fartucha. Przelotnie spojrzała w lustro i z niezadowoleniem dostrzegła, że jej jasne włosy były zupełnie mokre. Kilka niesfornych kosmyków wysunęło się z koka, miękko okalając szyję. Zdecydowanym ruchem poprawiła je i włożyła czepek. Ciągłe myśląc o zmianach, jakie poczyniono przez weekend na oddziale, otworzyła drzwi oddziałowej kuchni.

To, co zobaczyła, sprawiło, że natychmiast zapomniała o nurtujących ją problemach. W pokoju było dwóch mężczyzn. Jeden z nich uśmiechnął się do niej i uniósł dzbanek, który trzymał w ręku.

- Cześć. Napijesz się kawy, Lizzi?

- Poproszę. Co się stało, Óliver? Wyglądasz, jakby przejechała cię ciężarówka!

- Ty to wiesz, co powiedzieć mężczyźnie, żeby poprawić mu samopoczucie!

- Nie jestem tu po to, żeby poprawiać panu samopoczucie, doktorze Henderson. Od tego jest żona.

- Muszę jej o tym przypomnieć. Zastanawiam się tylko, kiedy znajdę na to czas.

Oliver nalał kawę do filiżanek.

- Ross?

Spojrzała na nieznanego. Był wysoki, wyższy nawet od Olivera, i bardzo ładnie zbudowany. Miał silne dłonie, szczupłe palce i pokryte ciemnymi włosami ręce. Był ubrany w zielony strój z bloku operacyjnego i antystatyczne buty.

Choć wyglądał na zmęczonego, promieniowała z niego jakaś siła, energia, dzięki której sprawiał wrażenie młodszego, niż był w rzeczywistości. Tym, co najbardziej rzucało się w oczy w jego wyglądzie była bujna czupryna gęstych, szpakowatych włosów. Sprawiały wrażenie, jakby przed chwilą wzburzyła je kobieca dłoń.

Chyba czytał w jej myślach, bo nagle przeczesał je palcami i podniósł na nią wzrok. Ciepłe, szarozielone oczy zdawały się przeszywać ją spojrzeniem na wylot. Nagle poczuła się jak mała, bezbronna dziewczynka.

- Ach, przepraszam! Jeszcze chyba nie mieliście okazji się poznać. Lizzi, to jest Ross Hamilton, chirurg, który od dziś będzie z nami pracować. A to Lizzi Lovejoy, nasz oddziałowy tytan pracy.

- Bardzo mi miło, siostró.

Ujęła wyciągniętą w jej stronę dłoń.

- Witamy w naszym domu wariatów, panie Hamilton.

Uśmiechnął się lekko i Lizzi zdała sobie sprawę, że był znacznie młodszymi, niż na początku sądziła.

Postarzały go siwe włosy i malujące się na twarzy zmęczenie.

Miał cienie pod oczami, a głębokie bruzdy wokół ust świadczyły, że przez ostatnie lata pracował ponad siły.

Podziękowała za kawę i ruszyła w stronę drzwi.

- Muszę zobaczyć kilku pacjentów na sali pooperacyjnej.

- OK. Spotkamy się na lunchu - odparł Oliver.

Doktor Hamilton podszedł do niej i stanął tak blisko, że musiała unieść głowę, żeby na niego popatrzeć.

- Przepraszam, że muszę teraz wyjść, ale całą noc spędziłem na bloku operacyjnym. Spotkamy się później.

Poczuła zakłopotanie. Dlaczego miałyby się z nią spotykać? Wzrok Lizzi spoczął na jego kilkudniowym zarostcie i ogarnął ją dziwny niepokój. Zaczzerwieniła się i bezwiednie zwilżyła wargi końcem języka.

Doktor Hamilton z trudnością oderwał wzrok od ust Lizzi i spojrzał jej prosto w oczy.

- Tak, później - zdołała z siebie wykrztusić.

- W porządku.

Ciągle stał obok niej, jakby jeszcze na coś czekał.

- Przepraszam - powiedział, a jego twarz rozjaśnił ciepły uśmiech. Ujął ją za ramiona, delikatnie przesunął i przeszedł obok.

Lizzi zdała sobie sprawę, że stała jak słup soli blokując mu wyjście. Popatrzyła za nim, jak wolnym, ale pewnym krokiem przemierzał szpitalny korytarz.

- Jeszcze kawy? - zapytał Oliver, przyglądając się jej z uwagą.

- Nie, dziękuję - odparła wracając do rzeczywistości. - Mieliście ciężką noc, prawda?

- Istne piekło! Ten śnieg naprawdę sprawił nam dużo kłopotów. Siedzę tu od piątej po południu. Ross zadzwonił o szóstej, pytając, czy nie potrzebujemy pomocy.

- To ładnie z jego strony.

- Tak. To bardzo dobry chirurg. Mamy szczęście, że do nas trafił. Dopiero niedawno się tu sprowadził. Wczoraj przywiózł resztę rzeczy, właśnie kiedy zaczął padać śnieg. Ma nowy samochód i mówi, że jechał nim znacznie szybciej, niż powinien.

Lizzi skrzywiła się. Samochody to ostatnia rzecz, o której chciała teraz myśleć.

- No więc co mamy nowego?

Przeszli do pokoju lekarza dyżurnego, gdzie odbywały się odprawy.

- Dzień dobry wszystkim - powitała zebranych i zajęła swoje miejsce. - Przepraszam za spóźnienie. Doktor Henderson właśnie informował mnie o zmianach na oddziale.

Jean Hobbs, pielęgniarka z nocnej zmiany, otworzyła zeszyt i omówiła po kolei stan wszystkich pacjentów.

Lizzi zwróciła szczególną uwagę na trzech ostatnich. Pierwszy nazywał się Roger Widlake i trafił na oddział z powodu rozległych obrażeń wewnętrznych, odniesionych na skutek wypadku samochodowego.

- Na przyszły raz z pewnością będzie jechał ostrożniej - stwierdziła Jean.

- Dlaczego nie leży na intensywnej terapii?

- Nie ma miejsca - wtrącił Oliver. - Położyliśmy go na sali pooperacyjnej. Zabieg wykonywał doktor Hamilton i będzie chciał przekazać ci na jego temat kilka uwag.

A więc dlatego chciał się z nią spotkać. Lizzi poczuła się rozczarowana.

- Jak on się teraz czuje?

- Trudno powiedzieć. Operacja skończyła się niedawno i jest jeszcze za wcześnie, żeby coś powiedzieć. Będziemy musieli uważnie go obserwować.

Przytaknęła. Postanowiła wyznaczyć do tego Sarah, swoją najlepszą pielęgniarkę.

Następnym pacjentem była kobieta, Jennifer Adams, która trafiła z podobnych przyczyn, chociaż jej obrażenia były mniej groźne. Podczas hamowania nadziała się na kierownicę, ale oprócz złamanej miednicy i kilku siniaków nic jej się nie stało.

Kolejny chory nazywał się Michael Holden. Był to młody, dwudziestoletni chłopak, który podczas dachowania wyleciał z samochodu i wpadł pod koła pojazdu nadjeżdżającego z przeciwka. Był w bardzo ciężkim stanie i Lizzi kategorycznie stwierdziła, że powinien znaleźć się na sali intensywnej terapii.

- Przeniesiemy go, gdy tylko zwolni się jakieś łóżko. Mają przewieźć dwóch pacjentów do Addenbrookes, więc nie powinno z tym być większego kłopotu. To chyba wszystko. Teraz wy trochę popracujcie! - Jean zamknęła zeszyt i wstała.

Ładnie się zaczyna tydzień, pomyślała Lizzi. Przydzieliła obowiązki młodszym pielęgniarkom i poszła z Oliverem obejrzeć nowych pacjentów.

Jennifer Adams bardzo się nad sobą użalała i Oliver zapisał jej silniejszy niż dotychczas środek przeciwbólowy.

Michael Holden oddychał z trudem, a jego twarz była blada i spocona.

- Są jakieś zmiany? - Oliver spojrział na czuwającą przy Michaelu pielęgniarkę.

- Oddycha nieregularnie i chyba jest w szoku bólowym. Ciągłe nie reaguje, jak się do niego mówi, ale był taki niespokojny, że musieliśmy go przywiązać do łóżka.

Oliver wziął do ręki kartę gorączkową i starannie ją przestudiował, a potem popatrzył na monitor.

- Ma małe szanse, żeby przeżyć. Jest strasznie zmasakrowany.

- Dziwię się, że ma złamanych tylko kilka żeber - powiedziała Lizzi.

- Nie sędzę. Zaraz radiolog przyniesie jego zdjęcia. Wezwaliśmy też ortopedów. Wydaje mi się, że ma uszkodzony staw biodrowy, ale to się dopiero okaże.

Spojrzał na zegarek i westchnął.

- Będę się zbierał. Dasz sobie radę?

- Spróbuję. A co z Rogerem Widlake'em?

- Ross powinien niedługo zejść. Powie ci wszystko, co trzeba. Do zobaczenia jutro.

Pożegnała Olivera i zwolniła pielęgniarkę, prosząc ją, aby przysłała do niej Lucy Hallett.

Po chwili otworzyły się drzwi i Lizzi ujrzała Rossa. Podszedł do niej i wziął do ręki kartę gorączkową Michaela.

- Jak on się czuje?

- Nie najlepiej.

- Wątpię, czy się z tego wygrzebie. Bardzo długo był pod narkozą i wygląda na to, że jest w szoku.

Odchylił brzeg koca i spojrzał na zawartość rurki drenażowej.

- Krwawienie z nerki.

- Z nerki? Ma tylko jedną?

- Tak. Lewą musieliśmy usunąć. Była całkiem zmiążdżona.

- Trzeba będzie jeszcze raz go operować?

Ross wzruszył ramionami.

- Bardzo możliwe. Teraz pozostaje nam tylko obserwacja. Krwawienie może ustać samo. Nie wiem, czy zniósłby kolejne znieczulenie. Ma we krwi tyle alkoholu, że mógłby się nie obudzić.

- Był pijany?

- Do nieprzytomności. Czeka go niezła przeprawa z policją.

- To po co w takim razie siadał za kierownicą?

- Dobrze pytanie. Spowodował wypadek, w którym zostały zranione cztery osoby.

- To drań! Nie zasługuje na to, żeby wyzdrowieć.

W tym momencie na monitorze rejestrującym czynność serca zapaliła się czerwona lampka i rozległ się alarm.

- No tak! Tego nam jeszcze brakowało. Podaj szybko rurkę intubacyjną!

Ross zaczął robić masaż serca, podczas gdy Lizzi delikatnie wprowadziła do tchawicy Michaela rurkę do podawania tlenu. W pokoju nagle zrobiło się tłoczno. Ktoś przejął od niej worek pompujący powietrze i ścisnął go rytmicznie w przerwach pomiędzy kolejnymi uciskami na mostek. Ktoś inny spytał Rossa, czy przygotować defibrylator.

- Nie, czynność serca ustała. Poddał się, albo po prostu pękł mu jakiś tętniak. Podłączymy go do respiratora, może jeszcze się uda.

Wydał kilka krótkich, zwięzłych poleceń, które natychmiast wykonano. Podano Michaelowi niezbędne leki, ale nie było widać żadnej reakcji. Ross zdecydował się podać adrenalinę prosto do serca, ale to również nie przyniosło efektu. Linia EKG na monitorze uparcie pozostawała płaska.

Po kilku minutach, które ciągnęły się w nieskończoność, wyprostował się z westchnieniem.

- Obawiam się, że nic więcej nie możemy zrobić. Musiała mu pęknąć aorta. Dziękuję wszystkim za współpracę.

Kiedy zostali sami, Lizzi ciężko usiadła na krześle.

- Widocznie tak miało być - westchnęła.

- Być może.
- Nie wierzy pan w przeznaczenie?
- Zadaniem każdego lekarza jest walka o ludzkie życie. Nawet jeśli jest to życie zupełnie nieodpowiedzialnego człowieka.

Lizzi zaczerwieniła się.

- Przepraszam. Po prostu nie potrafię znaleźć żadnego usprawiedliwienia dla kogoś, kto po pijanemu prowadzi samochód.

Ross wyprostował się z lekkim uśmiechem.

- Z formalnego punktu widzenia ma pani rację. Tylko że ja próbowałem już ocalić życie niejednemu takiemu lekkoduchowi i chciałbym, aby wreszcie któraś z tych prób zakończyła się sukcesem. Choć dla tego biedaka rzeczywiście chyba lepiej się stało. Bóg raczy wiedzieć, jak wyglądałoby jego życie po tym wypadku.

- Czy zawiadomiono jego rodzinę?
- Nie wiem. Rano nikt z nim nie przyjechał.

Wyszli z pokoju i natknęli się na Lucy Hallett, która właśnie zmierzała w ich kierunku.

- Są tutaj państwo Holden. Pytają, jak czuje się ich syn.

Ross i Lizzi spojrzeli na siebie w milczeniu.

- Ja się tym zajmę - powiedział Ross. - Pani niech doprowadzi go jakoś do porządku - zwrócił się do Lizzi.

Lucy uniosła ze zdziwieniem brwi.

- Co się stało?
- Zatrzymał się. Prawdopodobnie pękł mu pourazowy tętniak aorty. Czy rodzice wiedzą, w jakim był stanie?

- Wątpię. To ja ich informowałam, a przecież nie miałam pojęcia, że jest z nim tak źle. Koniecznie chcieli go zobaczyć. Z trudem udało mi się ich powstrzymać.

Lizzi wróciła do pokoju Michaela, usunęła mu rurkę intubacyjną, obmyła go i poprawiła pościel. Właśnie kiedy kończyła sprzątać, przyszedł Ross z państwem Holden.

Postanowiła zostawić ich samych. Informowanie rodzin o zgonach to był jedyny obowiązek, którego naprawdę nie lubiła wykonywać. Być może było to z jej strony tchórzostwo, ale w tym przypadku wcale nie miała ochoty z nim walczyć. Poszła do dyżurki, by załatwić kilka formalności związanych ze śmiercią Michaela.

Właśnie kończyła wypełniać akt zgonu, kiedy rozległo się pukanie i Ross uchylił drzwi.

- Mogę wejść?

- Oczywiście.

Wyprostowała się i odsunęła papiery na bok.

- Czym mogę służyć?

- Mogłaby pani zaoferować mi filiżankę kawy, a potem porozmawialibyśmy na temat Rogera Widlake'a. Inaczej na pewno zasnę.

- Pan Widlake już został przeniesiony na oddział intensywnej terapii - odpowiedziała z uśmiechem.

- Doskonale. A zatem zapraszam się na kawę!

Opadł ciężko na stojące przy biurku krzesło i potarł ręką czoło. Chociaż był ogolony i ubrany w garnitur, ciągle wyglądał na bardzo zmęczonego.

- Zobaczę, co się da zrobić. Jadł pan śniadanie?

- Nie zdążyłem. Musiałem się zająć rodzicami Michaela.

Lizzi poczuła się winna.

- Przepraszam, że zostawiłam pana samego. To ja powinnam była z nimi rozmawiać.

Uśmiechnął się lekko.

- Nic się nie stało. Wiem, że sprawiłoby to pani przykrość, chociaż uważa pani, że dostał to, na co zasługiwał.

- Ja...

Czy naprawdę była taka pamiętliwa? Czy naprawdę nie mogłaby porozmawiać z rodzicami pacjenta tylko dlatego, że w jej opinii był on winny?

Ross uśmiechnął się ze zrozumieniem.

- Proszę się nie martwić. Ja też miałem pewne trudności. Ciężko jest wytłumaczyć komuś, że jego ukochane dziecko nie tylko nie żyje, ale jeszcze przed śmiercią spowodowało wypadek, w którym kilka osób zostało rannych. I tak poszło łatwiej, niż się spodziewałem. Jego ojciec od razu zapytał, czy Michael był pijany i wydaje mi się, że rozmawiał podobnie jak pani. Jest policjantem.

- Nie wiedziałam.

- Ja też nie. Lizzi? - zapytał, po raz pierwszy zwracając się do niej po imieniu.

- Tak?

- Co z moją kawą?

- Och, już podaję. Przepraszam.

Poszła do kuchni, żeby przygotować tosty i świeżą kawę. Znalazła też trochę masła i dżemu. Postawiła to wszystko na tacy i zaniósła do dyżurki.

Ross spał z głową opartą o złożone na stole ręce. Zdjął marynarkę i było widać, jak ramiona unoszą się i opadają w rytm oddechu. Słońce łagodnie oświetlało jego szpakowate włosy, nadając im złota-wy odcień. Wyglądały tak miękko, że Lizzi poczuła nieodpartą ochotę, żeby zanurzyć w nich palce i lekko zmierzić. Co gorsza, ta potrzeba w niczym nie przypominała uczucia, jakie żywi matka w stosunku do dziecka. Otrząsnęła się i wzięła głęboki oddech.

Kiedy ostatni raz czuła coś podobnego? Postawiła tacę na stole i patrzyła, jak Ross budzi się i prostuje na krześle.

- Przepraszam - odezwał się zachrypniętym głosem i przeczesał włosy palcami.

Lizzi zacisnęła nerwowo pięści, by nie powtórzyć jego gestu. Potem szybko schwyciła filiżankę i nalała kawę. Kiedy stawiała ją przed Rossem, jej ręce lekko drżały.

- Z mlekiem czy bez? - spytała starając się, by głos zabrzmiał w miarę normalnie.

- Poproszę czarną.

- Może tosta?

- Z przyjemnością. Wszystkich lekarzy tak rozpieszczasz, czy tylko ja mam specjalne względy?

Poczuła, że się czerwieni. Szybko zajęła się napełnianiem drugiej filiżanki. Miał rację. Kogoś innego posłałaby do stołówki, ewentualnie poczęstowała kanapką. Ale żeby specjalnie na kogoś czekać? I to z tacą? Dlaczego to robi?

Doskonale wiedziała, co chodzi jej po głowie. Postanowiła szybko zmienić temat.

- Oliver wspomniał, że miałeś bardzo ciężki weekend.

- To prawda. W piątek zabrałem chłopców ze szkoły w Norfolk, w sobotę zawiozłem do matki do Edynburga i dopiero wczoraj wróciłem.

- Twoja żona mieszka w Edynburgu? - spytała dziwiąc się samej sobie. Nie miała zwyczaju zadawać znajomym osobistych pytań, a tym bardziej na takie odpowiadać.

- Moja eks-żona. Jej obecny mąż jest tam lekarzem domowym.

- Przepraszam. Nie chciałam być wścibska...

- Nic się nie stało. To żadna tajemnica. A ty?

- Ja? - zapytała nienaturalnie wysokim głosem.

- Co ja?

- Masz męża, narzeczonego, albo jakąś bliską osobę?

Lizzi z trudem przełknęła ślinę.

- Ja...

Przerwał jej ostry dźwięk telefonu.

- Słucham? Och, cześć Bron.

Przez chwilę rozmawiała o nowo przyjętym pacjencie, starannie unikając spojrzenia Rossa. Kiedy skończyła, powtórzył jednak swe pytanie.

Wstała i energicznym ruchem wygładziła fałdy spódnicy.

- Doktorze Hamilton. Z zasady nigdy nie dyskutuję w pracy o prywatnych sprawach. Obawiam się, że dla pana również nie mogę zrobić w tym względzie wyjątku.

Szybkim krokiem wyszła z dyżurki, zatrzymała przechodzącego sanitariusza i poleciła mu, żeby pomógł nowemu pacjentowi ulokować się w pokoju.

- Dwudziestoczteroletni mężczyzna z ostrym zapaleniem wyrostka robaczkowego. Położymy go na pierwszym odcinku.

Przez następne kilkanaście minut pokazywała studentce, jak wypełniać historię choroby nowo przyjętego pacjenta, jakie pobrać badania i co wpisać do karty gorączkowej. Potem poszła do dyżurki, żeby sprawdzić, który z lekarzy będzie go operował.

Kiedy zbliżyła się do drzwi, usłyszała śmiech Olivera.

- Lizzi? Chyba żartujesz. Młodsze pielęgniarki nazywają ją Lodową Górą albo Siostrą z Granitu.

- Chyba nie jest z nią aż tak źle?

- Daj spokój, Ross. Musiałbyś mieć ciepłownię, żeby rozgrzać Lizzi. Ona wszystko traktuje ze śmiertelną powagą!

Ross roześmiał się cicho i powiedział coś, czego nie dosłyszała. Za to odpowiedź Olivera dotarła do jej uszu w całości i to zupełnie wystarczyło.

- Tego nikt nie wie. Nosi obrączkę na łańcuszku, ale czy on żyje, czy są rozwiedzeni, to jej słodka

tajemnica. Może nawet nie była mężatką. Nigdy nie wspominała o żadnym mężczyźnie w swoim życiu. Zapomnij o niej, Ross. Jeśli chodzi ci o jakąś mniej zobowiązującą znajomość, to wystarczy, żebyś przyjrzał się bliżej tej małej, która pracuje na bloku operacyjnym. Przez całą noc nie spuszczała z ciebie wzroku...

Miała dość. Otworzyła drzwi, weszła do pokoju i popatrzyła na nich obu.

- Jak śmiecie obgadywać mnie poza moimi plecami! Mniej zobowiązujące znajomości możecie sobie zawierać poza terenem tego szpitala, a nie na bloku operacyjnym. A teraz wynoście się z mojego biura, żebym mogła w spokoju popracować!

Po chwili przypomniała sobie, po co w ogóle tu przyszła.

- Oliver, twoja żona właśnie przyjęła pacjenta z ostrym zapaleniem wyrostka. Który z lekarzy jest następny do operacji?

- Ja. Idę go zobaczyć. Gdzie leży?

- Na pierwszym odcinku.

- Lizzi, tak mi przykro...

- Nie dziwię się.

Wręczyła mu historię choroby i pokazała drzwi. Ze wzruszeniem ramion wyszedł z pokoju.

Ross wziął do ręki marynarkę.

- Lizzi, przepraszam, to moja wina. Nie powinienem go pytać o ciebie, ale byłem ciekawy...

- Jak możesz wtrącać się w czyjeś życie? To moja osobista sprawa i z nikim nie powinieneś o tym rozmawiać, tylko po to, żeby zaspokoić swoją pustą ciekawość!

Uzmysłowiła sobie, że ma zaciśnięte pięści, szybko oddycha i jest cała zarumieniona. Starając się odzyskać panowanie nad sobą, spojrzała Rossowi prosto w oczy. Przez moment patrzył na nią ze

złością, lecz po chwili dostrzegła w jego spojrzeniu zupełnie coś innego. Odwróciła wzrok.

Prawie nie oddychała, kiedy cicho podszedł do drzwi i ujął klamkę.

- Dziękuję za tosty i kawę. Już bardzo dawno żadna piękna kobieta nie robiła mi śniadania. A jeśli chodzi o ścisłość, moja ciekawość nie była pusta. Pytałem, bo zrobiłaś na mnie ogromne wrażenie.

Wyszedł z pokoju zostawiając ją niezdolną do zrobienia żadnego gestu.

ROZDZIAŁ DRUGI

Tyle rzeczy stało się tego poniedziałku, że Lizzi zupełnie zapomniała o wypadku, jaki miała rano. Dopiero kiedy zeszła na parking, przypomniała sobie, że wieczorem czeka ją nieprzyjemna przeprawa.

Uszkodzony daimler wciąż stał w tym samym miejscu, w którym go widziała ostatni raz. Miał zablokowane koło za nieprawidłowe parkowanie, co tylko nieznacznie poprawiło jej humor. Za wycieraczką nie dostrzegła zostawionej przez siebie kartki. Widocznie właściciel widział już, co się stało. Może poszedł teraz poszukać dozorczy, żeby odblokować koło? Nie miała zamiaru czekać na jego powrót. Wsiadła szybko do samochodu i pojechała do domu.

W poniedziałki jej matka zawsze chodziła na lekcje rysunku, po których zwykle wpadała na herbatę do przyjaciół. Tak więc Lizzi miała w perspektywie samotny wieczór i bardzo się z tego cieszyła.

Była zmęczona i bardzo przygnębiona. Jej stan ducha w dużej mierze był spowodowany śmiercią Michaela Holdena, chociaż nie tylko. Czy Oliver rzeczywiście miał rację? Czy naprawdę była taka twarda, czy tylko bardzo wrażliwa? Zresztą nie miało to większego znaczenia. I tak nie potrafiłaby tego zmienić.

Poszła do sypialni i przebrała się w dżinsy i luźny sweter. Usiadła przed lustrem, żeby rozczesać włosy, a jej wzrok padł na niewielką fotografię, oprawioną w srebrną ramkę.

Patrzył na nią młody, beztrosko uśmiechnięty mężczyzna. Jeden z odsłoniętych w uśmiechu zębów był trochę ukraszony i Lizzi przypomniała sobie, jak kładła mu okład z lodu, kiedy wrócił z meczu ze spuchniętą wargą.

Nagle łzy napłynęły jej do oczu. Podniosła fotografię i przycisnęła ją do piersi.

- Dlaczego mnie opuściłeś? Tak bardzo mi ciebie brak - szlochała. - Nazywają mnie Lodową Górą, ale ty wiesz, Davidzie, że to nieprawda. Dlaczego po prostu nie zostawiaj mnie w spokoju?

Oparła czoło o chłodną taflę lustra i powoli przestała płakać.

Wytarła fotografię rękawem i odstawiła ją na miejsce. Potem wstała, osuszyła oczy i poszła do kuchni przygotować sobie coś lekkiego do zjedzenia.

W telewizji nie było nic ciekawego, a książka, którą czytała, jakoś przestała ją interesować. Zapaliła piecyk gazowy i skuliła się w rogu kanapy. Czuła wewnątrz siebie pustkę i dziwny, nieokreślony lęk. Może był to strach przed rozmową z kierowcą daimlera, a może obawa przed jutrzejszym spotkaniem z Rossem? Nie wiedziała.

Z westchnieniem wyciągnęła się na kanapie. Matka wróci dopiero za kilka godzin, ale przecież nie może iść spać o siódmej wieczorem! Zresztą i tak musi poczekać, żeby pomóc jej położyć się do łóżka.

Nagle zdała sobie sprawę, jak puste było jej życie. To dlatego nigdy nie rozmawiała w pracy o swoich sprawach. Milczenie było okłamywaniem innych i samej siebie. Miała matkę, której była potrzebna, ale poza nią nie miała nikogo. Chociaż jej życie było wypełnione obowiązkami, serce pozostało puste. Ani mężczyzny, ani dzieci, ani nawet przyjaciół. Nikogo. Ze złością otarła łzę, która spłynęła po policzku. Płacz nic nie pomoże.

Poszła po odkurzacz i energicznie wzięta się za czyszczenie dywanów. Wszystko było lepsze niż siedzenie i użalanie się nad sobą.

Dopiero kiedy wyłączyła odkurzacz, usłyszała dzwonek telefonu. Podniosła słuchawkę, ale ktoś już się wyłączył.

Do diabła. Znow będzie musiała czekać.

Schowała odkurzacz i ponownie usiadła na kanapie. Wzięta do ręki książkę i zmusiła się do przeczytania kilku stron. Potem poszła do kuchni i nastawiła czajnik.

Kiedy rozległ się dzwonek, zamarła na chwilę w bezruchu, a potem pobiegła do pokoju.

- Halo?

- Lizzi? Tu Ross Hamilton.

- Ross! - wykrzyknęła, nie potrafiąc ukryć zaskoczenia.

Czego on do diabła chciał? Ciekawiło ją również coś innego. - Skąd masz mój numer telefonu?

- To proste - usłyszała jego śmiech. - Zostawiłaś go za moją wycieraczką.

Po raz kolejny powtórzyła sobie, że chyba postradała zmysły. Mogli przecież omówić tę sprawę w szpitalu. Po co zaprosiła go do domu? Co będzie, jeśli matka wróci wcześniej niż zwykle? Nigdy by jej tego nie wybaczyła! Och, Boże!

Teraz było już za późno. Zaczęła gorączkowo sprzątać mieszkanie, by wyglądało jak najlepiej, kiedy przyjdzie Ross. W końcu usłyszała dzwonek do drzwi.

Zanim poszła je otworzyć, stanęła nieruchomo i wzięta kilka głębokich, uspokajających oddechów.

Wytarła ręce o spodnie i poprawiła włosy. Dlaczego była taka zdenerwowana i przejęta?

Otworzyła drzwi i ujrzała stojącego na ganku Rossa. Wyglądał niesłychanie męsko. Miał na sobie wełniany płaszcz i biały sweter, który mocno odcinał się od opalonej skóry.

- Wejdz, proszę. Daj płaszcz, powieszę go na wieszaku. Napijesz się czegoś? Co wolisz, kawę, herbatę czy coś mocniejszego? Wejdz dalej.

Boże, co ja wygaduję! Zachowuję się jak idiotka, pomyślała i przygryzła wargę.

- Lizzi.

Głos, który usłyszała za sobą był spokojny, ale stanowczy. Zatrzymała się i spuściła głowę, czekając na cios.

- Uspokój się. Nie jestem na ciebie zły.

Nie wierzyła własnym uszom.

- Ale przecież twój samochód...

- Oddam go do naprawy. Chociaż pozostaje dla mnie zupełną tajemnicą, jak udało ci się zniszczyć cały bok. Zakładam, że nie zrobiłaś tego umyślnie, więc zostawimy całą sprawę towarzystwu ubezpieczeniowemu i po problemie.

- Jak możesz być tak spokojny? Oliver powiedział, że kupiłeś go całkiem niedawno. Na pewno jesteś wściekły!

- Całą złość wyładowałem na dozorcę, który zablokował mi koło - odparł ze śmiechem.

- Ach, zupełnie o tym zapomniałam!

Zasłoniła ręką usta, ale i tak zauważył, że się śmieje.

- Bawi cię to?

Spoważniała i odsunęła się do tyłu.

- Nie, przepraszam. Nie chciałam... Ross, ja...

- Lizzi?

Oparł rękę na jej ramieniu i lekko przyciągnął do siebie.

- Nie bój się mnie. Ja tylko żartowałem.

- Nie boję się - powiedziała cicho. - Po prostu bardzo rzadko miewam gości i jestem trochę speszona.

- Jeśli wolisz, możemy załatwić tę sprawę innym razem.

- To bez sensu. Skoro już przyszedłeś, zrobimy to teraz.

- Powinniśmy szybko się z tym uporać. Potem sobie pójdę, jeśli moja obecność cię drażni. Czy to przez dzisiejszy ranek?

- Nie, skądże. Z tego powodu też mi jest przykro. Wygląda na to, że niezbyt gorąco przywitałam cię w nowej pracy.

Roześmiał się.

- Przynajmniej zapamiętam to sobie do końca życia.

- Początek naszej znajomości nie był najszcześniejszy.

- To fakt. W dużej części to moja wina. Nie powinienem był pytać Olivera...

- To po co to zrobiłeś? - zapytała głosem, który zabrzmiał ostrzej, niż zamierzała.

- Ponieważ chciałem się czegoś o tobie dowiedzieć. Sprawiasz wrażenie osoby zamkniętej w sobie, ale wiem, że taka nie jesteś. Nikt, kto się tak rumieni, nie może być samotnikiem, nawet lodowa góra - zażartował.

Zaczerwieniła się i uwolniła z jego uchwytu.

- Nigdy się nie zgodzę na zawieranie... jak Oliver to nazwał? Mniej zobowiązujących znajomości?

- Nie miał na myśli ciebie. Zresztą nigdy nie dałem mu do zrozumienia, że interesuje mnie coś tak banalnego.

- A ona?

- Jaka ona? - zmarszczył ze zdziwieniem brwi.

- Ta dziewczyna, która nie odrywała od ciebie wzroku na bloku operacyjnym. Czy ją interesowała taka znajomość?

Roześmiał się i unióśł głowę.

- Mówiąc szczerze, nawet jej nie zauważyłem. Przykro mi, jeśli cię rozczarowałem.

Ulga, jaką odczuła, znalazła odbicie w jej spojrzeniu.

- Wcale nie czuję się rozczarowana - zapewniła go.

- To dobrze. Może zatem napijemy się kawy, zanim przystąpimy do papierkowej roboty?

Wielkie nieba! Zupełnie zapomniała, po co tu przyszedł. Poczuła się jak skarcona dziewczynka.

Usiedli w kuchni i pijąc kawę sporządzili potrzebne oświadczenia. Kiedy skończyli, Ross odsunął krzesło od stołu i wstał.

- Chyba już pójdę. Nie chcę ci więcej zawracać głowy.

- Ależ zostań! Napijemy się jeszcze kawy, albo czegoś innego. Nawet nie spytałam, czy jadłeś kolację.

- Dziękuję, jadłem. Mówiąc szczerze, to najchętniej poszedłbym do łóżka. Padam ze zmęczenia. Nie spałem całą noc.

Lizzi poczuła się rozczarowana.

- Przepraszam - powiedziała cicho. - Zupełnie zapomniałam, że masz za sobą koszmarną noc. Nie powinnam cię była zapraszać dziś wieczór. Musisz być wykończony.

- Jakoś przeżyję. Przynajmniej zobaczyłem, gdzie mieszkasz. Rozwiązałem kolejny punkt łamigłówek pod tytułem Lizzi Lovejoy. Mam zamiar rozwiązać ją całą!

Odprowadziła go do drzwi i patrzyła, jak zakłada płaszcz. Zanim wyszedł, lekko musnął ustami jej wargi.

Właśnie w tym momencie usłyszeli nadjeżdżający samochód. Ross uniósł pytająco brwi.

- To moja matka - powiedziała Lizzi, zastanawiając się jednocześnie, co mógł oznaczać ten niewinny pocałunek. Do tej pory czuła na ustach jego ciepło, a serce waliło jej jak oszalałe. Miała nadzieję, że matka niczego nie zauważy, bo nie miała teraz ochoty na udzielanie jakichkolwiek wyjaśnień.

Na nieszczęście matka zablokowała samochód Rossa i ich spotkanie było nieuniknione.

- Z przyjemnością ją poznam - usłyszała jego głos.

- To świetnie, bo nie ma żadnej szansy, żeby tego uniknąć. Nawet dobrze się składa, że tu jesteś. Pomożesz mamie wysiąść. Jest niepełnosprawna.

Podeszli do samochodu i Lizzi dokonała krótkiej prezentacji. Ross bez trudu uniósł matkę Lizzi i posadził ją na wózku inwalidzkim.

- Nie zapomnij przemyśleć mojej propozycji!
- krzyknął za wysiadającą kierowca.

Matka Lizzi z uśmiechem zapewniła go, że nie omieszka tego zrobić i pomachała mu na pożegnanie.

Popatrzyli za odjeżdżającym samochodem, a potem Ross wjechał wózkiem do domu.

- Dziękuję, mój drogi - powiedziała starsza pani.
- Więc jak się pan nazywa?

- Ross Hamilton. Pracuję z Lizzi w szpitalu, a właściwie dopiero zacząłem.

- Bardzo mi miło poznać pana, doktorze Hamilton.

- Ross jest chirurgiem, mamó.

- To wspaniale. Napije się pan z nami herbaty?

- Dziękuję, pani Lovejoy. Właśnie wychodziłem.

Na moment zapadła kłopotliwa cisza i matka Lizzi spojrzała na Rossa z dziwnym wyrazem twarzy.

- Nazywam się Mary Reed. Lovejoy to nazwisko mojej córki, które odziedziczyła po mężu - wyjaśniła. - Mam nadzieję, że jeszcze będziemy miały okazję gościć pana?

- Z przyjemnością, pani Reed.

- Cieszy mnie, że tak szybko się zaprzyjaźniłście...

- Mamo, to nie było spotkanie towarzyskie - wtrąciła się Lizzi, usiłując ukryć zmieszanie. - Dzisiaj rano wjechałam w jego samochód i musieliśmy omówić pewne formalności związane z ubezpieczeniem.

- Coś podobnego! Czy to ten samochód, który stoi na podjeździe?

- Tak. Na nieszczęście jest prawie nowy. Gorzej nie mogłam trafić.

- Można powiedzieć, że samochód Lizzi wykazał się nie najgorszym gustem - zażartował Ross i pożegnał panią Reed.

- Cóż, pani Lovejoy - powiedział cicho, kiedy zostali sami. - Zdobyłem kolejny fragment łami-główki. Mam zgadywać dalej, czy powiesz mi sama?

- Jestem wdową.

- A twój mąż został zabity przez pijanego kierowcę.

Spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Skąd wiesz?

- Nie trzeba być jasnowidzem, żeby się tego domyśleć. Dawno temu?

- Siedem lat.

- Dokładnie wtedy, kiedy ja się rozwiodłem. Czasami mi się wydaje, jakby to było wczoraj, a czasami, jakby sto lat temu. Pewnie masz podobne odczucia.

- Trudno jest porównywać te dwie rzeczy - powiedziała sztywno.

- Dlaczego?

- Bo ból z powodu utraty kogoś ukochanego, to coś znacznie gorszego niż pustka, jaka powstaje, gdy się porzuci kobietę.

- Źle mnie osądzasz, Lizzi. To moja żona odeszła ode mnie, zabierając ze sobą chłopców. Mieli wtedy cztery i sześć lat. Na pewno to nie jest tak okropne jak czyjaś śmierć, ale zapewniam cię, że wcale nie boli mniej.

Lizzi nie była we współczującym nastroju.

- Przynajmniej wiesz, że ona żyje i że chodzi gdzieś po świecie. Jeśli ją kochałeś, to ten fakt powinien wiele dla ciebie znaczyć.

- O tak, wiem, że żyje. Żyje i ma się dobrze. Tylko że z innym mężczyzną. Do czegoś takiego trudno się przyzwyczaić, Lizzi. Nie twierdzę, że tylko ona jest winna. Byłem młodym lekarzem, próbującym wyrobić sobie jakąś pozycję i być może poświęcałem jej zbyt mało czasu. Ale twój mąż przynajmniej nie pozbawił cię wiary w siebie i w twoją zdolność kochania! Do diabła, jestem zbyt zmęczony, żeby o tym mówić. Porozmawiamy innym razem. Dziękuję za kawę.

Odjechał, zostawiając ją drżącą i rozdrażnioną. Czuła się podle. Jej samopoczucie nie poprawił fakt, że matka jeszcze nie poszła spać. Ciężko westchnęła i weszła do kuchni.

- Cóż to za uroczy mężczyzna, Lizzi. Zachowywał się, jakby wcale nie był na ciebie zły.

- Teraz już jest - odparła z przekąsem.

- Och, skarbie, co się stało?

- Wypytywał o Davida. Zasłużył sobie na to, żeby go skarcić.

Matka westchnęła.

- Nie wiem, jak chcesz znaleźć nowego męża, jeśli ciągle...

- Nie chcę nowego męża! Moje obecne życie zupełnie mi odpowiada! Tobie nikt nie mówi, że powinnaś powtórnie wyjść za mąż, więc niby dlaczego ja miałabym to zrobić?

- Bo ty masz dwadzieścia dziewięć lat, a ja pięćdziesiąt cztery. Ja miałam już rodzinę. Jestem przykuta do wózka inwalidzkiego i niewiele mogę zaoferować. Ty, natomiast, jesteś młoda, piękna i masz przed sobą całe życie. Potrzebujesz partnera, Lizzi. Musisz mieć kogoś, kto cię będzie kochał i kto będzie o ciebie dbał.

- Masz zbyt bujną wyobraźnię - powiedziała i zmieniła temat. - O co chodziło Jeanowi, kiedy mówił, żebyś sobie przemyślała jego propozycję?

- Och, o nic ważnego - odparła, machając lekceważąco ręką. - Mamy się wybrać na małą wycieczkę. Ale mówiłyśmy przecież o Rossie.

- Nie mówiłyśmy! Tylko ty próbowałaś koniecznie go ze mną ożenić!

- Dokładnie. Wydaje mi się...

- Nie! - twardo powiedziała Lizzi i wyszła z pokoju.

Jednak później, kiedy leżała już w łóżku, wyciągnęła rękę i lekko dotknęła ust. Przed oczami stanęła jej postać Rossa i ogarnęło ją przyjemne ciepło. A może matka miała rację? Może potrzebowała miłości mężczyzny? Nagle ogarnął ją strach. Już raz przeżywała to uczucie. Czy starczy jej odwagi, żeby ponownie podjąć ryzyko?

Przypomniała sobie słowa Rossa. Czy naprawdę myślał, że nikt nie może go pokochać? To przecież absurd. Miał w sobie tyle ciepła, czułości, humoru i łagodności, a przy tym był tak przystojny, że żadna kobieta nie mogłaby mu się oprzeć. Ponownie oblała się zimnym potem.

Czy rzeczywiście? Nie! Ona nie może sobie na to pozwolić. Nigdy do tego nie dopuści! Tylko po to, żeby ponownie przeżywać katusze utraty najbliższej osoby? Przenigdy! Zresztą, to z pewnością tylko natura daje o sobie znać. Zignoruje go, a on na pewno da za wygraną.

A jeśli nie? Jeśli rzeczywiście ma zamiar bliżej ją poznać? Cóż, będzie musiała zrobić to, co zwykle robiła w podobnych sytuacjach. Odtrąci go. Nie chce zranić Rossa, dlatego musi to zrobić jak najszybciej, zanim całkiem zaangażuje się w ten związek. Dopiero kiedy podjęła tę decyzję, mogła spokojnie zasnąć. Odwróciła się na drugi bok i za chwilę już spała.

Zaczął się kolejny pracowity dzień. Jennifer Adams całą noc nie mogła spać z powodu bólu i Oliver przyszedł do niej, żeby zmienić leki.

- Ross był wczoraj wściekły - powiedział. - Ktoś stuknął na parkingu jego nowy samochód.

Lizzi zaczerwieniła się i Oliver spojrział na nią z uwagą.

- To ty?

Kiedy przytaknęła, chrząknął znacząco i lekko się uśmiechnął.

- Widziałaś go już?

- Tak. Omówiliśmy tę sprawę wczoraj wieczorem, ale byłabym wdzięczna, gdybyś zachował tę wiadomość tylko dla siebie.

- Oczywiście - odparł i poszedł do chorych.

Ross na szczęście był na bloku operacyjnym, więc nie musiała się obawiać, że go spotka.

O dwunastej Lucy Hallett powiadomiła ją, że Jennifer Adams chce z nią rozmawiać. Poszła do jej pokoju i usiadła obok łóżka.

Jennifer miała dopiero dwadzieścia trzy lata. Była bardzo wystraszona i nieszczęśliwa.

- Jak się czuje Peter? - zapytała. - Nikt nie chce mi nic powiedzieć. Słyszałam, że przewieziono go do Addenbrookes, ale zupełnie nie wiem po co. Muszę wiedzieć, co mu jest!

- Obawiam się, że ja też nie wiem - przyznała uczciwie Lizzi. - Ale mogę ci obiecać, że zrobię wszystko, żeby się dowiedzieć.

- Dlaczego mieliby go zabierać do Addenbrookes? Tam leczą najcięższe przypadki, tak?

Lizzi przypomniała sobie, że to właśnie mąż Jennifer był tym młodym człowiekiem, który poprzedniego ranka leżał na sali intensywnej terapii.

- Zgadza się. Wydaje mi się, że miał jakiś uraz czaszki i dlatego musieli go przewieźć. Wszystkiego się dowiem. Nic się nie martw. Niedługo będziesz na tyle zdrowa, że będziesz mogła sama go zobaczyć.

Kiedy wróciła do dyżurki, zadzwoniła na oddział intensywnej terapii, gdzie dowiedziała się, że pan Adams nie został przewieziony do Addenbrookes.

- A zatem obrażenia nie były bardzo poważne? - spytała.

- Obawiam się, że niestety były. Jego stan jest zbyt ciężki, żeby ryzykować taką podróż. Miał wykonaną kraniotomię, ale mimo to ciśnienie płynu mózgowo-rdzeniowego wciąż rośnie. Nie sądzę, żeby z tego wyszedł. Nie ma żadnych odruchów, a źrenice są nieruchome. Będę panią informować o jego stanie.

Lizzi podziękowała i odłożyła słuchawkę. Było znacznie gorzej, niż się spodziewała. Przybrała pogodny wyraz twarzy i wróciła do Jennifer.

- Ciągłe jest tutaj. Robią mu jeszcze jakieś badania. Jak tylko będziemy mieli wyniki, natychmiast dam ci znać.

Poszła na lunch, ale jakoś nie miała apetytu. Wzięła tylko kawę i przeszła do pokoju rekreacyjnego.

Pierwszą osobą, którą zobaczyła, był pogrążony w rozmowie Ross. Siedział z Oliverem i jego żoną, Bron. Kiedy weszła, pomachali w jej stronę. Koło tablicy z ogłoszeniami stał tłum ludzi, a kiedy przechodziła przez pokój, wszyscy ze śmiechem odwracali się w jej kierunku.

- O co tu chodzi? - spytała zdziwiona.

- Jeszcze nie widziałaś? - odpowiedziała pytaniem Bron.

- Co miałam widzieć?

- Rysunek - odparł ze śmiechem Ross. - Jakiś artysta naszkicował naszą karykaturę.

- Jak to „naszą”?

- Moją i twoją.

- Nie wiedziałam, że stanowimy parę!

- Daj mi tylko trochę czasu - szepnął tak cicho, że tylko Lizzi to usłyszała.

- No więc, co to za rysunek?

- Idź i zobacz - zasugerował Oliver z uśmiechem.

Właśnie w tej chwili pod tablicą rozległ się kolejny wybuch śmiechu. Wysoki mężczyzna podszedł do nich i usiadł na pobliskim fotelu.

- Co pana tak rozbawiło, doktorze Marumba?

- Och, Lizzi, to jest świetne! Myślałem, że padnę! Lodowa Góra i Śniegowy Bałwan!

Wstała i zdecydowanym krokiem podeszła do tablicy. Pośród różnych ogłoszeń dostrzegła rysunek. Przedstawiał jej mały samochód ostro nacierający na daimlera Rossa. Oba pojazdy wyglądały jak gotujące się do skoku pantery. Lizzi i Ross stali na ich dachach, niczym woźnice na ognistych rydwanach. Ona miała nieprzystępną, groźną minę, on zaś wymachiwał ogromnym batem, jakby chciał rzucić jej wyzwanie.

Napis pod spodem głosił:

„Lodowa Góra atakuje Śniegowego Bałwana. Czy oznacza to nastanie kolejnej epoki lodowcowej?”

Chłodna Lizzi powstrzyma arktycznego gościa. Czy Siostra z Granitu spotkała życiowego partnera, czy po prostu jest w swoim żywiole? Czekajcie na dalszy ciąg Zimnej Wojny!"

- Niezły, prawda?

Skoczyła jak oparzona i spojrzała ze złością.

- Niezły? Ross, czy ty straciłeś rozum?!

- Wcale nie. Musisz się nauczyć śmiać z samej siebie. Ja lubię przerośnięcie.

- Przerośnięcie?

- Wymowę gestów. Robi wrażenie, prawda?

- Nie bądź śmieszny! - zaczerwieniła się, kiedy zrozumiała, co miał na myśli.

- Mówiąc szczerze, nawet mi to pochlebia.

Zignorowała tę wypowiedź. Zerwała rysunek z tablicy i wyszła z sali. Wróciła na oddział, zapomniawszy nawet o nie wypitej kawie.

Lucy Hallett właśnie pisała do niej kartkę.

- Och, dobrze, że pani wróciła. Dzwonili z intensywnej terapii w sprawie pana Adamsa. Wykonane testy potwierdziły śmierć mózgu. Oprócz licznych złamań kości czaszki miał także potężny krwotok. Odłączyli go od aparatury i zaraz przyjdzie neurolog, żeby powiedzieć o tym pani Adams.

Złość minęła jak ręką odjął. Patrzyła tępo przez okno, a jej pamięć przywróciła obraz innej młodej kobiety, której życie w jednej chwili legło w gruzach...

- Siostro? Dobrze się pani czuje?

Spojrzała na Lucy i wzięła się w garść.

- Dziękuję, zajmę się tym.

Kiedy Lucy wyszła, opadła zmęczona na krzesło. Przeważnie potrafiła stawić czoło ludzkim tragediom, ale ten przypadek dotyczył ją zbyt boleśnie. Poczwała, jak przeszywa ją lodowaty dreszcz.

Kiedy do dyżurki zapukał neurolog, udawała, że jest zajęta pisaniem skierowań. Miała nadzieję, że

wygląda normalnie. Choć jej duszę wypełniał strach, na zewnątrz nic nie dała po sobie poznać. Tę sztukę miała opanowaną do perfekcji.

Poszła z nim do Jennifer Adams i w milczeniu patrzyła, jak delikatnie, choć nieodwołalnie, niszczy życie tej młodej kobiety.

Kiedy Jennifer zaczęła płakać, przerwał i spojrzał bezradnie na Lizzi, czekając na jej pomoc. Przemogła się i przytuliła dziewczynę. Myślała o długich spacerach, o tym, jak ułożyć grafik dyżurów na Wielkanoc, o zakupach, które musi zrobić i o samochodzie, który koniecznie trzeba naprawić. Pomogło. Łzy gdzieś odpłynęły. Odgarnęła włosy z twarzy Jennifer i uśmiechnęła się.

- Zrobię ci filiżankę herbaty i poproszę którąś z pielęgniarek, żeby z tobą posiedziała.

Kiedy znaleźli się na korytarzu, neurolog zapytał, czy rzeczywiście Jennifer Adams potrzebna jest w takiej chwili herbata.

- To doskonałe panaceum. Przynajmniej można się czymś zająć. Może pan też się napije?

- Nie, dziękuję. Muszę wracać na oddział.

Poprosiła jedną z koleżanek, żeby zajęła się panią Adams i postanowiła zrobić uczennicom krótkie szkolenie. Była dziś dla nich wyjątkowo surowa i dziewczęta kilka razy wymieniały między sobą porozumiewawcze spojrzenia. Kiedy skończyła, zamknęła się w dyżurce, ignorując ich komentarze. Sądziły, że jest wściekła z powodu karykatury. Żadnej nie przyszłoby do głowy, że Siostra z Granitu może przejmować się czymś tak znanym w szpitalnej rzeczywistości jak ludzka śmierć.

Usłyszała, że otwierają się drzwi, ale nie podniosła głowy.

- Ukrywasz się? - usłyszała cichy, lekko rozbawiony głos.

Z westchnieniem odłożyła długopis.

- Nie, panie Hamilton. Nie ukrywam się. W przeciwieństwie do pewnych ludzi, ja pracuję. Jeśli przyszedł pan poplotkować, to traci pan czas.

Uśmiech zniknął z jego twarzy. Usiadł na stojącym naprzeciw krześle i spojrzał na nią z uwagą.

- Przyszedłem tu w bardzo konkretnym celu, siostrzo Lovejoy - powiedział podkreślając ostatnie słowa. - Być może umknęło to pani uwadze, ale na tym oddziale leży czterech pacjentów, których operowałem dziś rano, a którzy są teraz pod pani opieką. Na szczęście ja o tym nie zapomniałem. Przyszedłem zobaczyć, jak się czują i zastanawiam się właśnie, czy zechce pani towarzyszyć mi w obchodzie. Oczywiście, jeśli nie pokrzyżuje to zbyt panu planów! - dodał z nutką sarkazmu w głosie.

- Może pan przychodzić do swoich pacjentów o każdej porze dnia i nocy - odparła rumieniąc się. - Zresztą i tak już skończyłam pracę.

Wstała i razem poszli na oddział. Przyglądała się, jak badał pacjentów, tłumaczył im szczegóły operacji i zlecał leki. Po raz kolejny pomyślała, jakim jest doskonałym lekarzem. Miał dużo osobistego uroku i ciepła, które budziły zaufanie i zjednywały mu pacjentów.

Kiedy skończyli obchód i przechodzili obok pokoju Jennifer, do ich uszu dobiegł urywany szloch i pocieszający głos pielęgniarki.

Ross spojrzał pytająco na Lizzi.

- Właśnie dowiedziała się, że jej mąż zmarł z powodu rozległych obrażeń głowy - wyjaśniła.

- Czy przepisano jej jakieś środki uspokajające?

- Nie. Oliver operuje, a jego asystent jeszcze się nie pojawił. Posłałam po niego pół godziny temu, ale był zajęty w przychodni. Bóg raczy wiedzieć, gdzie jest teraz.

- Młody Haig? Jest na izbie przyjęć. Chcesz, żebym się tym zajął?

- Mógłbyś? Z pewnością coś by się jej przydało.

- Oczywiście.

Podeszli do szafki z lekami i Ross wyjął ampułkę oksazepamu.

- To jej powinno pomóc.

Lizzi nic nie odpowiedziała. Wiedziała, że dużo wody upłynie, zanim dziewczyna w pełni do siebie dojdzie.

- Są jakieś szanse na herbatę? - zapytał Ross, kiedy znów znaleźli się w dyżurce.

- Przepraszam, ale skończyłam już pracę - uśmiechnęła się, za wszelką cenę starając się nie pokazać, jak bardzo jest roztrzęsiona.

Jeśli za chwilę nie znajdzie się we własnym domu, rozpłacze się na oczach wszystkich.

- A przy okazji. Dostaliśmy wynik sekcji Michała Holdena. Miałem rację. Pęknięty tętniak łuku aorty i kilka złamań czaszki.

- Moje gratulacje - powiedziała krótko.

- O co ci chodzi, Lizzi? Myślałem, że chciałaś, aby umarł - powiedział chwytając ją za ramię.

- Rozśmieszasz mnie! Proszę, pozwól mi odejść.

- Nie - odparł zdecydowanie. - Lizzi, powiedz mi, na co umarł twój mąż?

- Nie widzę żadnego...

Ujął jej podbródek i podniósł do góry tak, aby musiała spojrzeć mu prosto w oczy. Ujrzała w nich tylko zrozumienie i współczucie.

- Powiedz mi - poprosił.

- Z powodu urazu głowy - szepnęła i wyrwała się z jego uchwytu. Chwyciła torebkę i wybiegła z pokoju.

ROZDZIAŁ TRZECI

- Ja otworzę - krzyknęła matka.

Lizzi zakręciła kran, owinęła włosy ręcznikiem i wytarła się do sucha. Kto, do diabła, mógł przyjść do nich o tak późnej porze?

- To do ciebie, kochanie. Twój drogi doktor Hamilton - usłyszała głos matki. - Zaproszę go do salonu.

- On nie jest moim drogim doktorem Hamiltonem - mruknęła pod nosem. Oparła się o ścianę i przez chwilę słuchała rytmicznego skrzypienia matczynego wózka i równego kroku Rossa. Co on tu robi? Nagle zdała sobie sprawę, że niezbyt konsekwentnie realizuje swoje postanowienie. Miała przecież ignorować Rossa. Niepotrzebnie zaprosiła go do domu wczoraj wieczorem.

Poprawiła szlafrok, przeczesła włosy i poszła do sypialni przebrać się w dżinsy i bluzę. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie zrobić makijażu, ale potem jej wzrok padł na fotografię Davida.

Czy ona całkiem oszalała? Przecież ma zniechęcać Rossa, a nie stroić się dla niego! Głośno zamknęła szufladę, założyła kapcie i weszła do salonu.

- Witaj, Ross. Cóż za niespodzianka! - odezwała się chłodno.

Uśmiechnął się i podszedł do niej, zupełnie nie zwracając uwagi na nie zachęcający ton.

- Wczoraj wieczorem zaproponowałam mi jeszcze jedną filiżankę kawy.

- A ty odrzuciłeś moją propozycję.

- Powiedziałem tylko, że chętnie napiję się innym razem. Teraz nadszedł odpowiedni moment, tylko trochę zmieniły się okoliczności.

- Co masz na myśli?

- Zabieram cię do siebie.

- Nie!

- Tak. Masz oficjalne pozwolenie mamy, a poza tym umyłaś już włosy, więc nie masz żadnego usprawiedliwienia.

- Są jeszcze mokre...

- To je wysusz. Daję ci na to trzy minuty.

- To za mało.

- No dobrze, dziesięć. Ja w tym czasie porozmawiam z mamą.

- Lizzi, bądź człowiekiem - wtrąciła się Mary Reed. - Ross jest bardzo samotny. Nie ma tu żadnych przyjaciół.

- To prawda - przyznał. - Myślę, że jesteś dla mnie zbyt surowa. To nie fair!

Lizzi lekko się uśmiechnęła. Ross naśladował matkę tak zręcznie, że nie zdołała się zorientować.

- Bardzo proszę! - dodał spoglądając na nią uwodzicielsko.

Nie mogła już dłużej zachować powagi. Wybuchnęła śmiechem i pokręciła głową.

- No dobrze. Tym razem ci się udało. Będę gotowa za pięć minut.

W rzeczywistości zeszło jej nieco dłużej. Zmieniła zdanie i zrobiła delikatny makijaż, oczywiście tylko po to, żeby poprawić sobie samopoczucie! Potem szybko przebrała się w sukienkę, lecz w końcu zdecydowała, że pójdzie w dżinsach. Nie będzie się przebierać, nawet jeśli miałoby ucierpieć na tym jej dobre samopoczucie!

Kiedy weszła do salonu, Ross spojrzął na nią z uznaniem i zwrócił się do Mary:

- Niech pani się nie martwi, przed dziesiątą będzie z powrotem.

Pożegnał się i poprowadził Lizzi do drzwi, obejmując ją w talii. Wielki Boże! Jak dobrze było czuć na sobie jego dotyk! Promieniowały z niego bezpieczeństwo, ciepło i siła. Odsunęła się i sięgnęła po płaszcz.

- Możemy iść - powiedziała zduszonym głosem.

Uniósł brew i szepnął coś, co zabrzmiało, jak „Jestem szczęśliwy”, ale nie była pewna, a nie starczyło jej odwagi, żeby zapytać.

Poszli do samochodu. Ross uruchomił silnik i włączył radio. Rozległa się cicha, nastrojowa muzyka. Lizzi była zadowolona, że nie muszą rozmawiać. Między nimi rodziła się jakaś więź i nie mogła nic zrobić, żeby temu zapobiec.

Patrzyła na pewne, spokojne ruchy jego rąk i podziwiała precyzję, z jaką prowadził. Pomyślała, że chętnie asystowałaby mu przy operacji. Musiał być równie dobrym chirurgiem, jak kierowcą.

Kiedy wyjechali poza miasto i za oknami widać było tylko ciemność, poczuła się, jakby byli jedynymi ludźmi na ziemi.

W samochodzie było bardzo przytulnie. Zapach skórzanych obić mieszał się z delikatnym aromatem wody kolońskiej Rossa i długo musiała ze sobą walczyć, żeby nie przysunąć się bliżej.

Dalsza jazda stała się męczarnią. Zapach Rossa, widok silnych rąk i umięśnionych ud, sprawiły, że czuła się jak mucha w pajęczej sieci. Mogła tylko czekać, patrzeć i modlić się w duchu, żeby nie zauważył, co dzieje się w jej duszy.

Wreszcie dojechali. Wysiadł i przeszedł dookoła, żeby otworzyć Lizzi drzwi, ale ona zrobiła to pierwsza.

- Pozwól mi być rycerskim - poprosił cicho.

Podał jej rękę i pomógł wstać. Kiedy podniosła głowę, ujrzała najwspanialszy dom, jaki kiedykolwiek zdarzyło jej się widzieć. Miał niewiele okien i pomyślała, że w środku musi być dość ciemny.

- Druga strona to jedno wielkie okno. Wychodzi na dolinę. Teraz oczywiście nic nie zobaczysz, ale uwierz mi, widok jest cudowny. Sam dom jest dość nietypowy, ale mnie się podoba.

- Brzmi bardzo zachęcająco - powiedziała wolno Lizzi, a jej twarz rozjaśnił uśmiech. - To chyba niezwykle miejsce, prawda?

- Zobaczysz sama.

Rozejrzała się dookoła. Pomalowany na kremowo dom wyglądał, jakby miał tylko jedno piętro, choć w rzeczywistości było inaczej. Kształtem przypominał literę L, której krótsze ramię lekko się wznosiło, górując nad główną częścią budynku. Podeszli do drzwi wejściowych, które znajdowały się w miejscu połączenia obu skrzydeł. Obszerny hol ciągnął się w dwie strony. Po lewej znajdowały się schody, które, jak sądziła, prowadziły do sypialni. W prawej części ujrzała kilka drzwi, które prawdopodobnie zamykały pokoje gościnne.

To, co najbardziej rzucało się w oczy, było dokładnie na wprost niej. Błękitne, połyskujące, odbijające światło ogrodowych lamp...

- Czy to basen? - zapytała z niedowierzaniem.

- Tak. To jeden z powodów, dla których kupiłem ten dom. Chłopcy uwielbiają pływać, a ja spędzam tyle czasu na bloku operacyjnym, że muszę mieć coś, co pozwoli mi utrzymać kondycję. W przeciwnym razie dorobię się żyłaków i wyrosnie mi garb!

- Po co od razu popadać w skrajności! - roześmiała się. - Czy jest podgrzewany?

- Jasne! Za nic w świecie nie wszedłbym do lodowatej wody. Chcesz popływać?

- Teraz?

Przytaknęła, ale odmówiła. Nie chciała, żeby źle zrozumiał jej intencje. Noc była taka ciepła...

Przeszli do części mieszkalnej, która zajmowała parter i piętro. Drewniany sufit opadał łagodnie w dół, stykając się na końcu z ogromną szklaną ścianą.

- Ross, to jest niewiarygodne!

Uśmiechnął się z dumą.

- Dziękuję. Zakochałem się w tym widoku od pierwszego wejrzenia. Mam kilka pomysłów, jak urządzić to wewnątrz. Kiedy przywiozą meble, tu zrobię jadalnię, a niżej będzie salon - pokazał ręką.

Zeszli kilka stopni w dół i znaleźli się w ogromnym, prawie pustym pokoju. Stał tam tylko bujany fotel obity kremową skórą i mały telewizor. Pod ścianą dostrzegła stos pudeł, a przed kominkiem miękki, biały dywan.

- Usiądź, proszę. Rozpalę ogień i zrobię kawę.

Zrzuciła buty i usiadła w fotelu podkurczając nogi. Westchnęła z zadowoleniem.

- Lubisz kremową skórę, prawda?

- Tak. Dodatki będą ciemnozielone jak w samochodzie.

Żachnęła się na wspomnienie wypadku.

- Nie martw się, skarbie, już ci przebaczyłem.

Ogień zaczął się palić i Ross poszedł do kuchni. Po chwili doszły ją stamtąd jakieś dziwne dźwięki, więc postanowiła sprawdzić, co się stało.

- Jeszcze nie rozpakowałem ekspresu do kawy i pomyślałem, że jeśli trochę pohąłasuje, to...

Wybuchnęła głośnym śmiechem, lecz po chwili zamilkła, jakby sama przeraziła się własnej radości.

- Lizzi? Co się stało?

- Mój Boże! Nie śmiałam się tak od czasu...

Och, Ross...

Objął ją i mocno przytulił do siebie. Poczowała się tak dobrze, tak bezpiecznie! Silne ramiona chroniły ją przed całym złem tego świata. Już tak dawno żaden mężczyzna nie obejmował jej i nie pocieszał w ten sposób, że zapomniała, jakie to wspaniałe uczucie.

Dopiero kiedy podniósł jej twarz i otarł z niej łzy, zdała sobie sprawę, że płacze.

- Chcesz o tym porozmawiać? - zapytał miękko. Potrząsnęła głową.

- Wszystko przez to, co spotkało dziś rano Jennifer Adams. Zupełnie, jakbym przechodziła przez to jeszcze raz.

- Wiem. Dlatego przyjechałem. Pomyślałem, że może zechcesz o tym porozmawiać, ale nie chciałem tego robić w szpitalu. Mam wrażenie, że wszyscy tam myślą, że jesteś twarda jak kamień i wcale nie wzruszają cię takie historie, zgadza się?

Pociągnęła nosem i przytaknęła.

- Chyba tak. Przynajmniej za taką chcę uchodzić. Przeważnie mi się to udaje, ale kiedy muszę rozmawiać z krewnymi zmarłych, czasami nie starcza mi sił. Wiem dokładnie, co w takiej chwili czują i to jest ponad moje siły.

Raz jeszcze ją uściśnął, a potem posadził na krześle.

- Zaraz będzie kawa.

Zanieśli tacę do salonu i Ross poprosił ją, żeby usiadła na fotelu. Sam usadowił się na dywanie przed kominkiem.

- A więc - zaczęła pociągając łyk kawy - opowiedz mi, jak chcesz urządzać ten pokój.

- Ściany będą w kolorze rdzy, a na podłodze ciepły, jasnobezowy dywan. W oknach chcę zawiesić zasłony w jakieś abstrakcyjne, południowoamerykańskie wzory. Przywiozę też swoje ogromne obra-

zy. W poprzednim domu nie wyglądały najlepiej, ale tak je kocham, że chcę je tu mieć bez względu na to, jak będą się prezentować!

- Nie zatrudnisz dekoratora wnętrz?

- To mój dom i nie chcę, żeby jakaś zimmokrwista karierowiczka mówiła mi, jak ma wyglądać!

- Nie wszystkie są takie - powiedziała ze śmiechem.

- Kto? Dekoratorki wnętrz czy karierowiczki?

- I te, i te. Siostra Davida pracuje w tym zawodzie, a jest naprawdę wspaniałą kobietą.

- To wyjątek potwierdzający regułę - powiedział kładąc się przed kominkiem.

Przez chwilę w milczeniu wpatrywali się w ogień. Lizzi przypomniał się nieprzyjemny epizod ze szpitalnej świetlicy.

- Co zrobimy z tym domorosłym karykaturzystą?

- To pewnie jeden ze stażystów zabawia się naszym kosztem. Naprawdę nie ma się czym przejmować. Na razie nic nie możemy zrobić, chyba żeby posunął się za daleko. Wtedy trzeba będzie z tym skończyć.

- Nie wiem, czy nam się to uda. Dwa lata temu zdarzyła się podobna historia i nikomu nie udało się znaleźć winowajcy, mimo że podejrzanych było wielu.

- Ale chyba nikomu to nie zaszkodziło?

- Niespecjalnie, ale mimo to nie mam ochoty być tematem takich dowcipów. Może ktoś świetnie się przy tym bawi, ale nie ja... To już drugi raz nazwano mnie tego dnia Lodową Górą i...

- I co?

- I bardzo mnie to zabolalo - dokończyła szeptem.

Podszedł do fotela, ujął Lizzi za rękę i lekko pociągnął ku sobie. Stała zdezorientowana, a on usiadł w fotelu, biorąc ją na kolana.

- Ale dlaczego? Przecież to nieprawda.
- Tylko że oni o tym nie wiedzą.
- No to im pokaż. Rozluźnij się trochę, powy-
głupiaj, uśmiechnij' od czasu do czasu!

Wybuchnęła śmiechem i Ross przytulił ją do siebie.

- Widzisz, to nie takie trudne - mruknął.

Uniosła głowę i ich usta spotkały się. Z westchnieniem poddała się gorącym, namiętym uściskom Rossa, odwzajemniając jego pocałunek, pozwalając, by trwał w nieskończoność.

Kiedy wreszcie oderwali się od siebie, oddech Rossa był przyspieszony, a oczy aż pociemniałe z pożądania.

- Naprawdę nie wiedzą, jak bardzo się mylą - szepnął i przyciągnął jej głowę do piersi. Słyszała równe, głośne bicie serca, które waliło prawie tak szybko jak jej własne. Położyła w tym miejscu rękę, bezwiednym ruchem wsuwając palce pod koszulę Rossa. Pogłaskała miękkie włosy, które pokrywały jego pierś.

- Lizzi, czy wiesz, co się ze mną dzieje?

Natychmiast się wyprostowała, a na policzkach wykwitły jej purpurowe rumieńce.

Roześmiał się i cicho szepnął:

- Nie bój się, kochanie. Nie jestem młodzieńcem, któremu hormony uderzyły do głowy. Nic ci nie zrobię.

Problem polegał na tym, że jej uderzyły. To odkrycie wstrząsnęło nią do głębi.

Uwolniła się z jego objęć i ukłękła przed kominikiem. Nie czuła zimna, ale w jakiś sposób syk palących się polan i głęboki blask ognia działał na nią uspokajająco. W końcu to był tylko niewinny pocałunek. Dwoje dorosłych ludzi, romantyczny nastrój - zupełnie naturalna rzecz.

Czy dlatego właśnie zaprosił ją do siebie? Czy chodziło mu o...

- Powinienem już odwieźć cię do domu, jeśli nie chcę sobie robić wroga z twojej mamy - żartował.

- Wyjątkowo szybko zyskałeś sobie jej względy, Ross. Moi przyjaciele zwykle nie zwracają się do niej po imieniu.

- To ona mi zaproponowała przejście na „ty”. Poza tym chyba zbyt nie zachęcasz swoich przyjaciół, żeby spędzali z nią czas, prawda? Za dużo im mówi.

Serce Lizzi zamarło.

- Co na przykład?

- Chociażby to, że twój ojciec także zginął w wypadku samochodowym, podczas którego ona straciła władzę w nogach. Wydaje mi się, że czujesz się winna, iż nie jechałaś wtedy z nimi. Było ci trudno pogodzić się z faktem, że jako jedyna w rodzinie pozostałaś zdrowa. Tylko że to nie do końca jest prawdą, tak?

Kłęczał za nią, obejmując udami jej biodra i mocno przyciskając ją do piersi. Po raz kolejny tego wieczoru poczuła, że jest bezpieczna tylko w jego ramionach.

- Matka jest zbyt gadatliwa.

- Cii. Nie złość się. Dlaczego nie opowiesz mi wszystkiego? Pozbądź się tego ciężaru.

- Teraz jest znacznie lepiej niż kiedyś. Z początku... -jej głos załamał się, ale gdy poczuła życzliwy uścisk Rossa, podjęła na nowo. - Przez długi okres nienawidziłam samej siebie. Jeden z przyjaciół bardzo mi pomógł i w końcu jakoś przez to przeszłam. - Obróciła się tak, by móc widzieć jego twarz. - A ty? Lepiej się teraz czujesz?

Podniosła rękę i lekko dotknęła jego twarzy.

- Wczoraj wieczorem nagadałam ci strasznie dużo bzdur. Zbagatelizowałam sprawę twojego rozwodu. A ty wówczas powiedziałeś, że straciłeś wiarę w to, że ktoś może cię pokochać. Naprawdę tak myślisz?

- Teraz chyba już nie. Długo nie mogłem zrozumieć, dlaczego ktoś mógłby chcieć ze mną być, nie wspominając już o miłości. Nie wierzyłem nawet chłopcom, kiedy mówili, że mnie kochają. Powtarzałem sobie, że to tylko dzieci i że ich miłość się nie liczy. Teraz oczywiście wiem, że to nieprawda. Nie mogę powiedzieć, że jestem szczęśliwy, ale przynajmniej odzyskałem pewność siebie. Wiem, że nie jestem z gruntu zły, mimo że zawiodłem Ann i dzieci.

- Ale to przecież ona cię zostawiła! Jak możesz myśleć, że ją zawiodłeś!

- Jak to mówią, Lizzi, nie ma dymu bez ognia. Byłem tak zajęty, że czasami nie mieliśmy chwili, żeby ze sobą porozmawiać, nie mówiąc już o wspólnym życiu. Miałem mnóstwo pracy i nawet nie zauważyłem, że nasze małżeństwo się rozpada. Byliśmy wtedy bardzo młodzi, a przecież każdy z nas zmienia się w miarę upływu czasu. Ona potrzebowała czegoś więcej, niż mogłem jej dać, choć przede wszystkim potrzebowała czegoś innego. Widzę, jaka jest teraz szczęśliwa z Andrew. Podjęła słuszną decyzję, odchodząc ode mnie, choć wtedy trudno mi było to pojąć. Nie zdawałem sobie sprawy, że między nami wszystko skończone.

Uścisnął mocno Lizzi, a potem wstał i pomógł jej się podnieść.

- A teraz do domu - zakomenderował żartobliwym tonem.

Nie protestowała. Wiedziała, że powiedział jej znacznie więcej, niż oczekiwała, choć jednocześnie zbyt mało, by mogła uznać, że już wszystko rozumie.

Wkrótce nadeszłaby kolej na jej zwierzenia. Najwyższy czas, by przerwać tę intymną rozmowę.

Następnego ranka pan Widlake wrócił na oddział z intensywnej terapii. Wyglądał znacznie lepiej. Jego żona spędzała z nim teraz dużo czasu. Gdy zapytali o Michaela Holdena, Lizzi domyśliła się, że to ich samochód go potracił. Byli wstrząśnięci, kiedy dowiedzieli się, że Michael nie żyje.

Kiedy przyszedł Ross, wspomniała mu o rozmowie z państwem Widlake.

- Zupełnie nie rozumiem, jak mogą go tak żałować, skoro omal nie znaleźli się przez niego na tamtym świecie - zastanawiała się na głos.

- Nie wszyscy ludzie mają mściwą naturę.

- Chcesz powiedzieć, że ja mam?

- Oczywiście, że nie - westchnął. - Po prostu nie potrafisz poradzić sobie ze wspomnieniami i to cię zabija. Powinnaś spróbować, dopóki jest jeszcze czas.

- Na co? - spytała głosem, w którym nawet ona usłyszała gorycz.

- Na miłość - odparł patrząc na nią uważnie.

Podniosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy.

- Ross, ja...

- Nie teraz. Muszę już iść. Pójdziemy gdzieś dziś wieczorem, dobrze?

- Pracuję do dziewiątej.

- Nie ma sprawy, spotkamy się później. A teraz chodźmy do pana Widlake'a.

Starła się słuchać uważnie, co mówi, a nie myśleć o ciepłe jego dłoni i dotyku ust, choć niezbyt jej to wychodziło. Na szczęście zadzwoniono po niego z bloku operacyjnego i nie zauważył jej roz-targnienia. Czy naprawdę nie umiała sobie dać rady z samą sobą? Czy matka miała rację, mówiąc,

że potrzebny jej jest mężczyzna? Otrząsnęła się z tych myśli i wróciła do pracy.

Na szczęście reszta dnia minęła spokojnie. Podczas przerwy na lunch odstawiła samochód do naprawy, a potem zrobiła zakupy w supermarkecie. Zdążyła jeszcze zawieźć je do domu i wypić filiżankę herbaty.

- Jak się ma Ross? - spytała matka.

- Dobrze - odpowiedziała krótko, gdyż nie chciała rozwijać tego tematu.

- Myślę, że on bardzo cię lubi.

- Nie tylko mnie. Ciebie też. Uważa, że jesteś wspaniała. A ja myślę, że straszna z ciebie gaduła!

- Po prostu staram się przyspieszyć bieg wydarzeń i pomóc waszej miłości.

- Mamo! Jakiej miłości? Czasami naprawdę mówisz, co ci ślina na język przyniesie! Muszę już lecieć. Zobaczmy się po dziewiątej. Ach, nie! Zapomniałam, że wrócę dziś później. Dasz sobie radę sama?

- Oczywiście, kochanie. Wychodzisz gdzieś?

- Jeszcze nie wiem.

- Z kimś, kogo znam?

- Z Rossem - odpowiedziała krótko, unikając wzroku matki.

Pocałowała ją w policzek i pojechała do szpitala.

Weszła na oddział i od razu wiedziała, że coś się stało. Kiedy podeszła do dyżurki, usłyszała podniesiony głos Rossa i nieśmiałe odpowiedzi jednej z młodszych pielęgniarek.

Otworzyła drzwi i cicho zamknęła je za sobą.

- Jakieś problemy?

- Ta ignorantka zabiłaby pacjenta przez swoją bezmyślność, a teraz mi mówi, że ona nie wiedziała! Masz pojęcie?

- Sostro Winship, proszę iść i nastawić czajnik

- zwróciła się do wystraszonej dziewczyny.

- Jeszcze z nią nie skończyłem! - warknął Ross.

- Owszem, skończyłeś. Proszę iść, Amy, ja się tym zajmę.

Poczekaj, aż pielęgniarka wyjdzie z pokoju, a potem spojrzaj na Rossa z wściekłością.

- Jak śmiesz udzielać nagany członkowi mojego zespołu? Jeśli na oddziale jest jakiś problem dotyczący którejs z pielęgniarek, należy zwrócić się z tym do mnie, a nie bezpośrednio do niej! Nie życzę sobie, żebyś terroryzował moje dziewczyny! Czy wyrażam się jasno?

- Nie masz pojęcia o powadze sytuacji. Czy ty...

- Może po prostu mi powiesz, co się stało - prze-rwała mu cicho i usiadła za biurkiem.

Ross podszedł do okna i chwilę przez nie wyglądał. W końcu zaczął mówić.

- Jak zapewne pamiętasz, pani Avery wycięto w piątek pęcherzyk. W sobotę, nie wiadomo dlaczego, wypadł jej z rany pooperacyjnej dren. Wszyscy byli zajęci nowymi chorymi, których przywieziono po wypadkach, po tym, jak spadł ten duży śnieg, i ta mała Winship nikogo się nie poradziła, co z tym fantem zrobić. Wytarła dren gazikiem i wsadziła z powrotem! Usunąłem go w poniedziałek, ale dziś rano pani Avery zaczęła gorączkować, a już w południe była prawie nieprzytomna. Kiedy po mnie zadzwoniono, gwałtownie spadło jej ciśnienie i wymiotowała.

- Wielki Boże!

- Jest we wstrząsie septycznym, Lizzi, i może umrzeć. I to po zwykłym usunięciu pęcherzyka żółciowego. A teraz powiedz mi, że nie miałem racji!

- Tak mi przykro...

- Przykro? W tej sprawie będzie dochodzenie. Można mówić o dużym szczęściu, jeśli nas nie zaskarżą.

Zmarszczyła brwi.

- Kto ją operował? I dlaczego wypadł dren?

- Mam zamiar się tego dowiedzieć. Ty zajmij się Amy, a potem sporządzimy sprawozdanie. Pani Avery dostaje penicylinę i wlew z soli fizjologicznej, żeby uzupełnić płyny. Na szczęście przestała wymiotować, ale wciąż czuje się bardzo źle.

- Ross?

- Słucham.

- Myślę, że nie powinniśmy się dziś spotykać.

- Dlaczego?

- Nie sądzę, żeby to był najlepszy pomysł...

- Bzdura. Czekam na ciebie o dziewiątej przy głównym wejściu.

Objął Lizzi i przyciągnął do siebie. Właśnie ją całował, kiedy otworzyły się drzwi.

Odskokzyła jak oparzona. Zdażyła jedynie zobaczyć, że ktoś cicho zamyka je za sobą. Popatrzyła na Rossa i omal nie uderzyła go za to, że się śmieje.

- Widziałeś, kto to był?

- Nie, ale myślę, że twoja reputacja została wystawiona na szwank.

- Cholera! - zakląła i opadła na krzesło. - Jak możesz się śmiać?

- Uspokój się. Przecież ja tylko cię całowałem. Rozumując tak jak ty, można by pomyśleć, że tańczyliśmy nago w fontannie.

Spojrzała mu w oczy i dostrzegła w nich pragnienie, wcale nie mniejsze od tego, jakie sama odczuwała.

- Do zobaczenia o dziewiątej - szepnął i lekko pocałował ją w czoło.

Niedługo po jego wyjściu rozległo się pukanie i weszła Amy Winship. Była zapuchnięta od płaczu i wyglądała na bardzo nieszczęśliwą. Lizzi z wes-

tchnieniem wskazała jej krzesło po drugiej stronie biurka.

- Usiądź, Amy i opowiedz mi o wszystkim - powiedziała miękko.

Kiedy parę minut po dziewiątej zjawiała się przy głównym wejściu, Ross już czekał. Ubrała się w dżersejową sukienkę, którą zabrała z domu w przerwie na lunch, ale włosy pozostawiła spięte w kok, jak podczas pracy. Miała nadzieję, że nie pojedą do żadnej eleganckiej restauracji.

Ross uśmiechnął się i odprowadził Lizzi do samochodu, nawet jej nie dotykając. Poczwała głęboką wdzięczność, nie pozbawioną jednak odrobiny rozczarowania.

- Będę jechał za tobą, a potem przesiądziemy się do mojego samochodu. Nie będziesz musiała prowadzić.

Zostawiła auto pod domem i usiadła obok Rossa. Zawiózł ją do podmiejskiego pubu, przy którym znajdowała się niewielka, ale bardzo przytulna restauracja. Kiedy zaparkował samochód, zamiast wysiąść, zapalił małą lampkę i podał jej złożoną kartkę papieru.

Kiedy ją rozłożyła, jej oczom ukazał się rysunek przedstawiający ich dwoje splecionych w namiętym uścisku. Podpis głosił:

„Zimna wojna wre coraz goręcej. Śniegowy Bałwan zdobywa Lodową Górę. Czy to efekt globalnego ocieplenia, czy tylko chwilowy wzrost temperatury? Czekajcie na nowe odcinki przygód Yeti!”

- To nie było tak! - zaprotestowała.

- Masz rację - przyznał Ross, gasząc lampkę.

- Trzymałem ręce tutaj - objął ją w pól - a nie tu.

Prawą rękę położył na biodrze Lizzi i przyciągnął ją do siebie, a lewą powymmował jej szpilki z włosów.

Lekko musnął wargami jej usta, a potem z westchnieniem przycisnął je do swoich.

Po chwili oderwał się od niej i poprawił na siedzeniu.

- Ach, te dzisiejsze samochody! - jęknął. - Za moich studenckich czasów były znacznie wygodniejsze. Miałem starego austina z rozkładanym siedzeniem.

- To cena, jaką płacisz za sukces! - zażartowała.

- Zresztą jesteśmy chyba trochę za starzy, żeby obściskować się w samochodzie, nie sądzisz?

- Chyba masz rację. Może pojedziemy do mnie? Odsunęła się, nie wiedząc, czy mówi poważnie.

- Wolałabym nie.

- Żartowałem! Chodź, najpierw coś zjemy.

- Najpierw?

Otworzył swoje drzwi i spojrzał na nią, uśmiechając się filuternie.

- Najpierw. Na deser mogę zaczekać!

- Jesteś bardzo pewny siebie.

Starła się, by zabrzmiało to naturalnie, ale nie potrafiła ukryć niepokoju.

Spoważniał i wyciągnął do niej rękę.

- Raczej pełen nadziei. Lubię cię, Lizzi Lovejoy. Bardzo cię lubię. Kto wie, co nam przyniesie czas. Tylko nie staraj się na siłę przeciwstawiać temu, co czujesz. Daj nam szansę.

Ucisnęła podaną dłoń i popatrzyła mu prosto w oczy.

- Spróbuję. Nie mogę niczego obiecać, ale spróbuję.

Przyciągnął ją lekko do siebie.

- O nic więcej nie śmiem prosić - szepnął i pocałował ją w usta.

- Znów się pieścimy w samochodzie... jak dzieciaki - zauważyła po chwili.

- No to co? - roześmiał się. - Niektórzy ludzie nigdy nie dorosleją. Chodźmy, pani Lovejoy. Umieram z głodu.

Wysiadł i otworzył Lizzi drzwi. Zamknął samochód, złapał ją za rękę i pobiegli do restauracji, by schronić się przed deszczem, który właśnie zaczął padać.

- Ostatni stawia drinki! - krzyknął Ross i dobiegł do drzwi, otwierając je z rozmachem.

Omam nie wpadł na wychodzącą właśnie parę.

- Dobry wieczór państwu - usłyszeli zdumiony głos.

- Dobry wieczór, James - odpowiedział Ross.

Lizzi zarumieniła się, ale zanim zdążyła wykrztusić z siebie coś sensownego, tych dwoje było już na parkingu.

- Akurat teraz musieliśmy napatoczyć się na twojego asystenta! - powiedziała z niezadowoleniem.

- Nic się nie stało. Powinnaś się nawet z tego cieszyć.

- Cieszyć? Dlaczego?

- To dla nich kolejny dowód, że jesteś normalną, ludzką istotą!

Westchnęła. Mogli otrzymać bardziej subtelne dowody, żeby się o tym przekonać!

ROZDZIAŁ CZWARTY

W restauracji było sporo ludzi, ale nie mieli większego problemu ze znalezieniem przytulnego stolika. Kiedy usiedli, Ross złożył ręce na piersiach i spojrzał uważnie na Lizzi.

- Wróciłaś już do siebie? - zapytał z uśmiechem.

- Musiał mnie zobaczyć akurat teraz!

- Wstydzisz się pokazywać ze mną?

- Nie, oczywiście, że nie - zaprzeczyła. - Tylko... poczułam się jakoś niezręcznie... No wiesz, biegniemy jak idioci, krzycząc coś do siebie... Nie wyglądało to poważnie. Przestań się ze mnie śmiać!

Spróbował przybrać poważną minę, ale niespecjalnie mu to wychodziło i po chwili oboje chichotali jak para nastolatków. Podeszła kelnerka, ale nie mogąc doczekać się zamówienia stwierdziła, że przyjdzie za chwilę. Wywołało to kolejny wybuch śmiechu.

- Ross, zachowuj się! Za chwilę nas wyrzucą, a ja jestem głodna jak wilk! - zdołała z siebie wykrztusić.

- Co się martwisz? Kupimy gdzieś frytki i zjemy je w samochodzie. Warto zrezygnować z obiadu, żeby zobaczyć, jak się śmiejesz. Chyba nie robisz tego zbyt często, prawda?

Spoważniała i spuściła oczy.

- Odkąd zginął David nie miałam zbyt wiele okazji - przyznała. - Kiedy wychodzisz z mężczyzną, zawsze chodzi mu tylko o jedno... Wiesz, co mam na myśli. A kiedy idziesz gdzieś z dziewczynami, one myślą tylko o tym, jak poderwać faceta! A to ostatnia rzecz, której bym chciała...

- Naprawdę?

- Tak! Naprawdę, Ross. Nie potrafiłabym... Nie chcę znów się angażować. To zbyt wiele kosztuje. Nie sądzisz, że mam rację?

Potrząsnął głową.

- Teraz już myślę inaczej. Kiedy Ann mnie opuściła, myślałem, że zwariuję. Miałem potem kilka przelotnych znajomości, żeby udowodnić samemu sobie, że jeszcze ktoś może mnie chcieć, ale... Odnajdowałem w nich tylko samotność, a to jeszcze bardziej boli. Po kilku nieudanych próbach poddałem się i zacząłem intensywnie pracować. Dopiero kiedy poznałem ciebie, pomyślałem, że może istnieje jeszcze dla mnie szansa innego życia. Może dojrzałem już do tego, żeby spróbować ponownie? Oczywiście, że nie chcę jeszcze raz przechodzić przez to samo, ale przecież trzeba zaryzykować. Poza tym, mam dosyć życia w samotności...

Znów podeszła kelnerka, więc już tym razem złożyli zamówienie.

- Dlatego tak mi się podobało, kiedy wczoraj wypytywałaś o mój dom. - Ross ujął rękę Lizzi poprzez stół. - Kupiłem go z myślą o chłopcach. Chciałem być blisko ich szkoły, ale przecież im jest obojętne, na jaki kolor pomaluję ściany i jakie kupię zasłony. Wystarczy, żeby lodówka i basen były pełne. Już zacząłem się zastanawiać, co, do diabła, robię w tym ogromnym domu. Tylko ja i gołe ściany...

W jego głosie było tyle smutku, że serce Lizzi przeszły ból. Ona przynajmniej miała matkę, która żywo interesowała się jej życiem. Ross był całkiem sam. Nikogo nie obchodziło, co się z nim dzieje.

Podniosła ich splecione ręce i ucałowała jego palce.

- Przykro mi, że jesteś taki samotny - wyszeptała.

Ujął jej policzek, a ona odwróciła twarz i ukryła ją we wnętrzu jego dłoni.

Kiedy podniosła wzrok, ujrzała, że jego oczy są nienaturalnie błyszczące. Puściła jego rękę i odwróciła się w stronę kelnerki, która właśnie zbliżała się z ich kolacją.

Podczas posiłku celowo rozmawiali tylko o bła-
hych rzeczach, uważając, by nie poruszać tematów osobistych.

Czas leciał szybko i wkrótce nadeszła pora, o której zamykano restaurację. Ross odwiózł ją do domu, ale odmówił, kiedy zaproponowała, żeby wstąpił na kawę.

Wziął od niej klucz, otworzył drzwi i obejmując ją wszedł do przedpokoju.

- Dziękuję ci za ten wieczór, Ross - szepnęła.

W odpowiedzi pochylił się i pocałował ją, naj-
pierw delikatnie i czule, a potem z siłą, która sprawiła, że zabrakło jej w piersiach tchu.

Kiedy wreszcie podniósł głowę, serce waliło jej jak oszalałe, a nogi drżały.

- Śpij dobrze, najdroższa - szepnął i wyszedł.

Przykryła usta dłonią i z zamkniętymi oczami słuchała, jak zapala samochód i odjeżdża.

Powoli serce wróciło do normalnego rytmu. Zamknęła drzwi na klucz i poszła do sypialni.

Kiedy usiadła przy toalecie, żeby zmyć makijaż, jej wzrok padł na fotografię Davida. Czy czuła to samo, kiedy David ją całował? Być może. Minęło tyle czasu... Czyżby już nie mogła sobie tego przypominąć?

Z ciężkim westchnieniem dotknęła jego twarzy na fotografii, ale jedyne, co czuła pod palcami, to chłód szkła. Kiedy zamknęła oczy, stanął przed nimi Ross ze swym specyficznym uśmiechem, który tak lubiła. Nie, już nie pamięta, jak czuła się w ramionach

Davidą. Zasmuciła ją myśl, że ich miłość była tak krótkotrwała.

Po policzku potoczyła się łza, po niej następne. Pozwoliła im płynąć. Z jej rozpaczy pozostał tylko łagodny smutek, który była winna Davidowi.

W końcu położyła się do łóżka. Patrzyła nieruchomo w sufit, próbując odegnać wizerunek Rossa, który malował się jej przed oczami, ilekroć je zamknęła. Na próżno. W końcu dała za wygraną. Zamknęła powieki i pozwoliła, by powróciło wspomnienie silnych, ciasno obejmujących ją ramion. Z tym wspomnieniem zasnęła, pogrążając się w głębokim, spokojnym śnie.

Rano pani Avery czuła się znacznie lepiej. Gorączka spadła, a bilans płynów został wyrównany. Ross operował i Lizzi niewiele go widziała. W przerwie między zabiegami wpadł na krótko i tylko zdążył wypić kawę, a po południu przyszedł zobaczyć swoich chorych.

Lizzi dowiedziała się, że panią Avery operował młodszy asystent, doktor Mitch Baker. Poprzednik Rossa był wówczas ostatni dzień w pracy. Po lunchu poszedł do domu i Mitch sam przeprowadził zabieg. Ponieważ miał wystarczające kwalifikacje, nikt nie zwrócił na to specjalnej uwagi.

- Dobrze, że nie popełnił więcej błędów - westchnął Ross.

Brak doświadczonej kadry zawsze stanowił w szpitalach poważny problem. W Audley starano się zatrudniać jak najwięcej wybitnych specjalistów.

- A co z Amy Winship? - spytał Ross, ale Lizzi nie wiedziała nic na temat jej dalszych losów.

- Powiedziała mi to samo, co tobie. Zdała sobie sprawę, że postąpiła głupio, ale miała nadzieję, że nic z tego nie wyniknie. To jej pierwsza praca, Ross.

Niedawno skończyła szkołę. Jestem pewna, że gdyby nie to całe zamieszanie, zapytałaby kogoś o radę. Pani Avery czuje się lepiej, więc może skończy się tylko na naganie.

- Mam nadzieję. Była zdruzgotana tym, co zrobiła. Przepraszam, że urządziłem jej taką awanturę, ale nad pewnymi rzeczami nie mogę przejść do porządku dziennego.

- Zapewniam cię, że to się więcej nie powtórzy - powiedziała uśmiechając się lekko. - To biedne dziecko jest tak przerażone, że boi się nawet mierzyć ciśnienie i temperaturę!

W tym momencie zabręczał telefon i Ross podniósł słuchawkę. Zajął się papierkową robotą, ale coś w jego głosie zwróciło jej uwagę.

- Lany poniedziałek? Nie ma problemu. Będę w pracy, ale nie sądzę, żeby to stanowiło jakąś przeszkodę. Bez tego cholernego psa! Dlaczego? W poprzednim domu zniszczył wszystkie dywany, dlatego! Po prostu go nie chcę. Dziękuję. OK, Ann, czekam na ciebie w poniedziałek. Do zobaczenia.

Odłożył słuchawkę i z zamkniętymi oczami opadł na oparcie krzesła.

- Żona?

Otworzył jedno oko.

- Eks-żona. Jada na tygodniowy urlop i chcą, żebym wziął chłopców.

- A pies?

- Odmówiłem - odparł z łobuzerskim uśmiechem.

- Słyszałam!

- Podsłuchiwałaś?!

- Trudno było nie słyszeć.

Podniósł się z krzesła.

- Idę teraz nauczyć Mitcha, jak się zakłada dreny przy operacjach brzucha. Co robisz po pracy?

- Pranie.

- Naprawdę? Może zrobisz i moje?
- Nie, dziękuję.
- Szkoda. Przenoszę się na tydzień do szpitala, bo w domu będzie malowanie, a nie znoszę zapachu farby. Zastanawiałem się, czy nie pomogłabyś mi przewieźć tu rzeczy.

- Szczoteczkę do zębów i kilka par majtek? Chyba dasz sobie radę sam - zakpiła.

Pochylił się i uśmiechnął znacząco.

- Oczywiście, że tak. Pomyślałem tylko, że może chciałabyś mi pomóc. Szczególnie kłopotliwe są te majtki...

Odepchnęła go lekko i wstała.

- Przykro mi, Casanovo, ale będziesz musiał obejść się bez mojej pomocy!

- Umrę z rozpaczy - powiedział z nienaturalnie poważną miną. - Na wypadek, gdybyś zmieniła zdanie, mieszkam w pokoju trzynastym.

- Cóż, dziś w nocy ta liczba chyba nie przyniesie ci szczęścia.

- Tylko dziś? - usłyszała za sobą głos, a kiedy się odwróciła, objął ją i mocno przytulił.

Uśmiechał się, ale kiedy zajrzała mu w oczy, ogarnął ją strach.

- Ross, nie poganiaj mnie - powiedziała bez tchu. Natychmiast rozluźnił uścisk i cofnął się.

- Przepraszam, nie chciałem cię przestraszyć. Zobaczymy się jutro.

Po jego wyjściu poczuła się nagle opuszczona i samotna. To śmieszne! Przecież nie podobała się jej natarczywość Rossa. Dlaczego więc nie czuła ulgi, kiedy zostawił ją w spokoju?

Po powrocie do domu zmusiła się, żeby zrobić pranie. Niech ma za swoje! Mogła teraz być z Rossem i miło spędzać czas, gdyby nie ten jej przekłęty upór!

Zauważyła, że coraz bardziej tęskni za towarzystwem Rossa. Czyżby się od niego uzależniła? Może powinna rzadziej się z nim widywać? Tak, to chyba dobry pomysł. Nie będzie wtedy śmiać się z głupich dowcipów, biegać po deszczu i całować go na dobranoc. Och, Boże! Te wieczorne pocałunki...

Ze złością zamknęła pralkę i przekreśliła programator. Właśnie, że nie będzie o tym myśleć!

Zrobiła kawę i usiadła przed telewizorem.

- Nie spotykasz się dzisiaj z Rossem? - spytała matka, podnosząc wzrok znad gazety.

- Nie. Pomagałam mu tylko zaadaptować się w nowym środowisku, to wszystko - odparła, nie wierząc zupełnie w to, co mówi.

Oderwała wzrok od telewizora i napotkała wnikliwe spojrzenie matki. Zabawne, że wszyscy uważali ją za cichą, łagodną kobietę. W dużej mierze była to wina kalectwa. O ile jednak fizycznie rzeczywiście była słaba, o tyle psychikę miała niezwykle silną.

- Na kilka dni przeprowadza się do szpitala, bo w domu będzie miał malowanie.

- Jak chce go urządzić?

Lizzi z przejęciem zaczęła opowiadać o pomysłach Rossa i Mary z przyjemnością przyglądała się córce.

- Brzmi zachęcająco - powiedziała, kiedy Lizzi skończyła.

- Też tak sędzę.

- Widzę, kochanie, że jesteś pod dużym wrażeniem.

Lizzi wzruszyła ramionami, starając się opanować podniecenie.

- Wydaje mi się, że całość może wyglądać całkiem nieźle.

Matka uniosła brwi, a potem wróciła do czytania gazety. Lizzi spojrzała na zegarek. Piętnaście po

dziewiątej. Ross powinien już być w szpitalu. Chyba do niego zadzwoni.

Poszła do holu, czując na sobie spojrzenie matki. Zamknęła drzwi i szybko wykręciła numer, bojąc się, że za chwilę zabraknie jej odwagi.

- Hamilton - usłyszała niski głos. - Halo?

- Cześć. Tu Lizzi. Więc już tam jesteś? - spytała naiwnie.

- Mhm. Tak mi się przynajmniej wydaje. Chyba żebym był w Edynburgu, chociaż ten garbaty materac wydaje mi się dziwnie znajomy!

- Co robisz? - zapytała uśmiechając się.

- Tak sobie leżę w łóżku i czytam książkę. Chętnie bym z kimś porozmawiał, ale wygląda na to, że wszyscy zawzięli się, żeby dziś właśnie robić pranie!

- Wszyscy? - nie potrafiła ukryć niepokoju.

- Wszyscy, z wyjątkiem pewnej instrumentariuszki, która stała dziś na bloku tak blisko mnie, że aż zrobiło mi się duszno. Chyba chciała wskoczyć w moje ubranie!

- Pewnie tak było - zachichotała.

- Cóż, nie udało jej się. Chociaż, gdyby sytuacja była inna, nie wiem, czy pozostałbym taki niewzruszony.

Poczuła ukłucie zazdrości.

- To znaczy?

- No wiesz - powiedział wolno. Usłyszała skrzypnięcie łóżka, na którym leżał. - Na przykład, gdybyś ty była na jej miejscu.

Rozluźniła się. Ross musiał usłyszeć westchnienie ulgi, jakie jej się wyrwało, bo zaczął się śmiać.

- Och, Lizzi. Tak łatwo cię nabrać! Przecież możesz mi zaufać, skarbie.

- Nie jestem tego taka pewna.

- Przynajmniej spróbuj.

- Ross, mówiłam ci już...

- Wiem, wiem. Znów cię wodzę na pokuszenie, tak? Czasami traktujesz chyba zbyt poważnie to, co mówię.

- Czy to znaczy, że ty lekceważysz moje słowa?

- Ależ skąd! Jakże bym śmiał! Nigdy tego nie robię.

Nie odpowiedziała, tylko uśmiechnęła się do siebie.

- Żałuję, że nie ma cię tutaj.

- Ja też - szepnęła tak cicho, żeby Ross nie mógł usłyszeć. Sądząc jednak po jego słowach, chyba nie dość cicho.

- Przyjedź do mnie.

- Ross! Nie bądź śmieszny!

Mogła sobie wyobrazić jego zawiedzioną minę.

- Tak sobie tylko głośno myślałem. Pewnie masz rację. Skoro nie możesz przyjechać, to lepiej skończmy, zanim stopią się kable telefoniczne. Dobranoc, Lizzi. Śpij dobrze i dzięki za telefon.

- Nie ma za co. Dobranoc, Ross.

Usłyszała, jak daje jej całusa i odkłada słuchawkę. Mój Boże! Był taki uroczy, taki nieprzyzwoicie beztroski, ale czy tylko to? Czy naprawdę był tylko zwykłym podrywaczem? Nie, to niemożliwe. Przecież niejednokrotnie dał wyraz swojej wrażliwości i uczuciowości. Chociażby wczoraj, kiedy powiedziała, iż przykro jej z powodu tego, że jest taki samotny. W jego spojrzeniu wyczytała wtedy znacznie więcej, niż mógłby wyrazić słowami.

A więc pozostawało tylko jedno wytłumaczenie. Miał wobec niej poważne zamiary i z każdym dniem angażował się coraz bardziej.

Sama nie wiedziała, która ewentualność przerażała ją bardziej.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Piątek od rana zaczął się pechowo. Oliver operował przyjętych planowo pacjentów, a Ross nagłe przypadki. Miał już za sobą dwa zabiegi i czekał go następny. A przecież była dopiero dwunasta.

Lizzi też miała więcej zajęć niż zwykle, gdyż dwie dziewczyny z jej personelu były nieobecne. Poza tym ciągle jeszcze nie ustaliła grafiku dyżurów na okres Wielkanocy.

W drodze do pokoju rekreacyjnego spotkała Rossa, który miał akurat chwilę czasu, żeby wypić kawę. Kiedy weszli, wszyscy zwrócili spojrzenia w ich stronę, uśmiechając się do siebie porozumiewawczo. Kilka osób stało przed tablicą z ogłoszeniami.

- Znow to samo - mruknęła pod nosem.

- Na to wygląda. Choć, zobaczymy, co wymyślił tym razem.

Podeszli bliżej i spojrzeli na rysunek.

- „Pod śnieżną płożą”. Zabawne, mógłbym przyjąć, że restauracja nazywała się „Pod podkową”. No cóż, widocznie się myłę. „Uff. Można odetchnąć. Zdecydowanie nadchodzi globalne ocieplenie. Lodo-wa Góra topnieje jak wosk, a to jeszcze nie koniec niespodzianek. Czyżby jednak nasz Yeti był tylko jej kolejnym kaprysem? Czekajcie na następne odcinki tej płomiennej historii!” - Ross zachichotał i przejechał palcem po rysunku. - Podoba mi się, jak topniejesz na mój widok!

- To świetnie. A teraz zdejmij to.

- Dlaczego? On przecież tylko się bawi.

- Szkoda, że moim kosztem. Przynajmniej teraz wiemy, kto to jest.

- Moim też. Nie sędzę, żeby to był James. On nawet nie potrafi wyraźnie pisać, nie mówiąc już o rysowaniu.

Lizzi odpięła kartkę i włożyła do kieszeni. Podeszli do stolika, przy którym siedziało już kilka osób.

- Co tym razem?

Niechętnie wyjęła rysunek i pokazała kolegom.

- Co wy robicie? - spytał Jesus Marumba.

- Biegniemy przez deszcz.

- Bawimy się jak dzieci - odpowiedział Ross.

- Chichoczemy, wygłupiamy się i trzymamy za ręce.

Wszystkie spojrzenia zwróciły się na Lizzę. Poczują, jak rumieniec ogarnia jej ramiona, szyję i wpełza na policzki.

- On żartuje - powiedziała cicho. - Usiłuje wprowadzić mnie z równowagi.

- Rzeczywiście - przytaknął. - Najwyższy czas, żeby ktoś to wreszcie zrobił!

Zignorowała jego uwagę.

- Dlaczego wszystko, co robimy, musi od razu stać się publiczną tajemnicą? Gdybyśmy tylko wiedzieli, kto jest autorem tych bohomazów!

- Teraz, kiedy mieszkam w szpitalu, będzie pewnie jeszcze gorzej - zauważył, kiedy wychodzili z pokoju. - Lepiej, żeby nie widziano cię u mnie, nawet w środku dnia ani przy otwartych drzwiach! Bóg raczy wiedzieć, jak ten facet by to skomentował!

- Może powinniśmy rzadziej się spotykać? - Już wczoraj przyszła jej ta myśl do głowy, a teraz nabrała przekonania, że byłoby to najlepsze rozwiązanie.

- Nic z tego - zaproponował. - Nie mam też zamiaru spotykać się z tobą po kryjomu! Nie możemy temu komuś zabronić rysowania, ale musimy mieć pewność, że nie robimy nic nieprzyzwoitego.

- Nigdy bym sobie na to nie pozwoliła! - powiedziała dumnie.

-A szkoda - odparł, lekko się uśmiechając.
- Miałem zamiar wykorzystać cię dziś wieczorem. Jesteś wolna?

- Dlaczego pytasz? - spojrzała podejrzliwie.

-Z przyczyn zupełnie ode mnie niezależnych mam pewne problemy z transportem. Mój samochód jest u mechanika, a chciałbym zajrzeć dziś do domu, żeby zobaczyć, jak malarze dają sobie radę. Pomyślałem, że mogłabyś mnie tam zawieźć. Co ty na to?

- Dobrze, ale nie sądzę, żeby...

Podszedł do nich Mitch Baker.

- Przepraszam, czy mógłby pan doktor pójść do pana Widlake'a? Coś się z nim dzieje.

Kilka minut później Ross zajrzał do pokoju zabiegowego, w którym Lizzi segregowała leki.

- To nic poważnego. Wokół jednego szwu wytworzył się niewielki stan zapalny. Powiedziałem Lucy Hallett, żeby go zdjęła. Możesz tego dopilnować? I nie zapomnij przyjechać po mnie o siódmej. Jak będziesz wchodziła, upewnij się, że nikt cię nie widzi!

Zanim zdążyła coś powiedzieć, zamknął drzwi i odszedł. Zostawił ją bardziej zmieszaną niż kiedykolwiek. Nie brał pod uwagę, że mogłaby się nie zgodzić. Pewnie dlatego, że jej odmowa i tak zabrzmiałaby bardzo nieprzekonywająco. Poczuła się jak lekkie, targane wiatrem piórko, które równie dobrze może wylądować na rozgrzanej plaży, co w otchłani morskich fal. Znając swoje szczęście, mogła raczej liczyć na tę drugą ewentualność! Westchnęła i wróciła do sprawdzania zawartości szafki z lekami.

Punktualnie o siódmej poszła na parking i rozglądając się dookoła, podjechała pod internat. Postawiła wysoko kołnierz, założyła słoneczne okulary i zakryła czoło włosami. Potem wysiadła z samochodu i podbiegła do drzwi.

Na palcach podeszła do pokoju Rossa i lekko zapukała do drzwi.

- Ręce na kark i powoli wychodzić! - powiedziała półgłosem.

Drzwi otworzyły się i silne ramiona wciągnęły ją do środka.

- Patrzyłem na ciebie przez okno, ty Jamesie Bondzie!

- To takie zabawne! - roześmiała się. - Czuję się jak konspirator!

Zdjęła okulary, rozpięła płaszcz i usiadła na łóżku.

- O rany! Ale nierówny materac! Musi być strasznie niewygodny.

- Komu ty to mówisz! Przecież ja na nim śpię. Chodź, idziemy, zanim ktoś cię tu zauważy.

Otworzył drzwi i wyszli na korytarz, właśnie w momencie, kiedy zza rogu wyłoniła się grupka młodych lekarzy.

Kilku z nich obejrzało się za nimi, a Mitch Baker uśmiechnął się porozumiewawczo.

- Miłego posiłku - powiedział tak niewinnie, że Lizzi uznała za przywidzenie błysk złośliwości, jaki przez moment dostrzegła w jego oczach.

Ross uspokajająco ścisnął ją za ramię.

- Dzięki, Mitch. Z pewnością będzie miły. Masz dzisiaj dyżur, tak? Gdyby trafiło ci się coś poważnego, na przykład zapalenie wyrostka robaczkowego, dzwoń do mnie bez wahania!

Obrócił się na pięcie i pociągając za sobą Lizzi, wyszedł na parking. Dopiero na zewnątrz oboje wybuchnęli śmiechem.

- Ross, jesteś okropny! Ten biedny facet...

- Ten biedny facet dobrze wiedział, co robi! Specjalnie na nas czekał. Zastanawiam się, czy potrafi rysować.

- Myślisz, że to on? - zapytała, zatrzymując się w pół kroku.

- Nie wiem i szczerze mówiąc teraz mnie to nie obchodzi. Jedźmy już, bo umrę z głodu!

Najpierw pojechali obejrzyć dom, a w powrotnej drodze kupili coś do jedzenia.

- Jesteś pewien, że to dobry pomysł? - spytała z powątpiewaniem, kiedy stanęli przed drzwiami pokoju.

Wzruszył ramionami.

- Dlaczego nie? Naprawdę nie obchodzi mnie, co sobie o nas pomyśla. Co sądzisz o malowaniu?

- Idzie im nieźle. Zobaczymy, jak będzie wyglądała całość.

Postawił przed nią dwa talerze i zapakowaną w folię żywność.

- Nakryj do stołu, a ja poszukam Mitcha. Chcę go zapytać, czy na oddziale wszystko w porządku.

Szybko przygotowała posiłek i wyjrzała na korytarz.

- Gotowe, można jeść! - krzyknęła.

Kilku lekarzy zatrzymało się na korytarzu i pomachało w jej stronę.

- Już idziemy.

- Nie wy! - odkrzyknęła, czując, że się czerwieni.

Ross wychylił głowę z jednego z pokoi w końcu korytarza.

- Mam przyjść do ciebie?

- Tak. Kolacja jest gotowa.

Zamknęła drzwi z takim pośpiechem, że omal nie przycięła sobie nosa.

Po krótkiej chwili Ross pojawił się w pokoju. Spojrzała na niego z wyrzutem w oczach.

- Koniecznie musiałeś sformułować to pytanie w ten sposób?

W odpowiedzi objął ją i w zamyśleniu oparł brodę o ramię Lizzi.

- Jeszcze nigdy nie usłyszałem na nie odpowiedzi.

Zadrzała, czując siłę i ciepło dłoni, które spoczywały na jej biodrach.

- Robi się zimno - powiedziała i lekko odepchnęła Rossa.

- Mów za siebie - odparł lekko zachrypniętym głosem i podszedł do stołu. - To dla mnie? - zapytał biorąc do ręki jeden z talerzy.

- Tak.

- No to jedzmy, zanim całkiem wystygnie. Chyba nawet Lodowa Góra lubi zjeść czasem ciepły posiłek, prawda?

Rzuciła w niego sucharkiem. Ross złapał go w locie i zjadł.

- Myślałam, że mi go odrzucisz z powrotem! - krzyknęła.

- Nie mówiłaś, jakie są zasady gry!

- Jak cię znam, to i tak zbytnio byś się nimi nie przejął.

Nie przerywając jedzenia, uśmiechnął się i Lizzi minęła cała złość.

Kiedy skończyli, zaniósł do kuchni talerze i wrócił po chwili z dzbankiem kawy.

Była bardzo gorąca i musieli trochę poczekać. Lizzi usiadła na łóżku, a już po chwili leżała wyciągnięta obok Rossa, opierając głowę na tym cudownym zagłębieniu poniżej ramienia i trzymając rękę na jego udzie.

- Ale dobrze - westchnęła z zadowoleniem.

- Rzeczywiście - zgodził się i obrócił do niej przodem.

Położył dłoń na biodrze Lizzi i lekko przyciągnął do siebie.

- Ross, myślę, że... - głos uwiązał jej w gardle.

- Nie myśl. Po prostu czuj.

Delikatnie dotknął ustami jej warg. Poddała się pieśszczocie, zapominając o całym świecie. Po chwili jednak otrząsnęła się i odchyliła głowę.

- Ross, nie! Nie mogę...

- Cii...

Ponownie przyciągnął ją do siebie i zaczął delikatnie gładzić jedwabiste włosy.

Powoli jej serce zaczęło bić spokojniej. Przestała bronić się przed radością, jaka ogarnęła ją z powodu bliskości drugiego człowieka. Boże, prawie zapomniała, jak dobrze jest trzymać kogoś w objęciach. Przytuliła się mocniej.

- Spokojnie, skarbie. Jestem tylko człowiekiem - zamruczał.

- Wiem - odparła miękko. - Dlatego jest mi z tobą tak dobrze.

Pocałował ją we włosy.

- Powiedz mi coś.

- Co?

- Czy po Davidzie byli w twoim życiu inni mężczyźni?

- Nie. Nigdy nie myślałam, że jeszcze się z kimś związę, ale...

- Ale? - W jego głosie było słychać napięcie.

- Ciepło, kontakt z drugim człowiekiem, poczucie bezpieczeństwa, czułość, to wszystko jest takie wspa-
niałe. Właśnie to, a nie kochanie się. To cena, którą trzeba zapłacić. Nie wiem tylko, czy nie jest zbyt wygórowana.

Nie odpowiedział.

- Ross?

Milczał tak długo, że pomyślała, iż śpi. W końcu jednak westchnął i otworzył oczy.

- Jeśli coś jest ci bliskie, nie patrzysz na cenę. Po prostu płacisz.

- Nie!

- Chcesz powiedzieć, że David nie był wart cierpień, jakie przeszłaś po jego śmierci?

- Och, Ross, to nie w porządku!

- Doprawdy? - przewrócił się na brzuch. - Gdybyś wcześniej wiedziała, że zginie, wyszłabyś za niego?

Przygryzła wargę. Jak mógł o to pytać? Przecież na to pytanie nie ma odpowiedzi. Z piersi wydobył się jej urywany szloch. Natychmiast objął ją i przytulił do siebie.

- Cicho, kochanie. Przepraszam. Nie powinienem o to pytać. Nie płacz...

Trzymał ją w ramionach, kołysząc lekko i szepcząc pocieszające słowa. Nawet nie zauważyła, kiedy jego współczucie przerodziło się w pożądanie. Usta Rossa odnalazły drogę do jej ust i zespoliły się z nimi w namiętym pocałunku. Zatraciła się w nim bez reszty, ulegając zmysłom, które były silniejsze od jej rozsądku.

Dźwięk telefonu, który rozległ się w ciemności, poraził ich swym ostrym brzmieniem.

Przez moment leżeli bez ruchu, po czym Ross niechętnie podniósł się i podszedł do aparatu.

- Hamilton - odezwał się zduszonym głosem.
- Tak, już idę. Dziękuję.

Odłożył słuchawkę i zaklął.

- Coś się stało?

- Tak. Mitch Baker potrzebuje pomocy.

Przesunęła się na brzeg łóżka i sięgnęła po zimną kawę.

- Napij się. - Podała mu filiżankę. W tej chwili rozległo się pukanie. Ross uchylił drzwi.

- Przepraszam, że panu przeszkadzam, ale przyjęliśmy zapalenie wyrostka, które bardzo mi się nie podoba. Wolałbym mieć jakąś asystę. Pacjentka jest już na bloku.

- Mitch, lepiej, żeby to nie był dowcip - wycodził Ross, patrząc na niego kamiennym wzrokiem.

W wiszącym nad umywalką lustrze widziała niewzruszoną twarz Mitcha. Dopiero kiedy podniósł wzrok i napotkał jej spojrzenie, dostrzegła w jego oczach błysk złośliwego zainteresowania.

- To nie jest żart, doktorze.

- W porządku. Zaraz tam będę.

Zamknął drzwi, a Lizzi opadła na poduszkę.

- No, teraz dopiero się zacznie.

- Co takiego?

- Widział mnie w lustrze. Jutro rano cały szpital będzie trąbił tylko o tym. Jadę do domu.

Sięgnęła po płaszcz w tym samym momencie, co Ross i ich dłonie spotkały się. Przyciągnął ją do siebie.

- Przykro mi, Lizzi.

- Daj spokój - zaprotestowała słabo. - Nic się nie stało. Teraz wszyscy już uwierzą, że jestem inna, niż myśleli.

Zachichotał.

-Wszystko zależy od tego, jak bardzo chcesz zmienić swój image!

- Cóż, lepiej już pójdę, jeśli chcę zachować choć pozory przyzwoitości!

Pocałowała go lekko w policzek i wyszła.

Przeklęty Mitch Baker, pomyślała. Jednak pamięć ciepłego dotyku Rossa trwała dłużej niż irytacja, jaką odczuwała z powodu jego asystenta. Tej nocy nie miała problemów z zaśnięciem.

Następnego dnia szła do pracy na popołudniową zmianę. Kiedy zjawiła się w szpitalu, Rossa już nie było. Oliver wręczył jej wiadomość od niego. Otworzyła kopertę i uśmiechając się do siebie, przeczytała notatkę.

Spojrzał na nią pytającym wzrokiem.

- Pisz, że wczorajszy wyrostek był pęknięty i że wywiązało się zapalenie otrzewnej. Myśleliśmy, że Mitch żartuje.

Opowiedziała Oliverowi o wczorajszym zajściu i oboje wybuchnęli śmiechem.

- To go oduczysz podglądania swoich zwierchników! - skomentował.

- Myślisz, że Mitch mógłby być autorem tych karykatur?

Wzruszył ramionami.

- Być może. Czy wczoraj kupowaliście jakieś jedzenie na wynos?

- Tak, chińskie dania. A dlaczego o to pytasz?

- Czy Mitch wiedział o tym?

- Tak - pokiwała wolno głową. - Słyszał, jak Ross mnie zapraszał i życzył nam smacznego. Ale o co ci chodzi?

- To tłumaczy dzisiejszy rysunek - odpowiedział enigmatycznie i otworzył drzwi.

- Jaki rysunek? - spytała.

Kilkoro ludzi obróciło się w jej stronę, niektórzy z nich rozbawieni, inni skonsternowani.

- Na tablicy - powiedział Oliver. - Później go zobaczysz.

Nie mogła się doczekać przerwy na kawę. Kiedy wreszcie nadeszła, pobiegła do pokoju rekreacyjnego, gdzie było już sporo ludzi. Kiedy otworzyła drzwi, zobaczyła ją Ross i szybko podszedł.

W wytartych dżinsach i luźnym swetrze wyglądał wspaniale.

- Byłeś na spacerze?
- Yhm. Dostałaś moją wiadomość?
- Tak, dziękuję. Długo czekasz? - uśmiechnęła się.

- Wystarczająco. Oglądałaś już dzisiejszy rysunek?

No tak! Widząc Rossa zupełnie zapomniała, po co tu przyszła.

- Jeszcze nie. Chodźmy go obejrzyć - westchnęła z rezygnacją.

Podeszli do tablicy.

Na widok obrazka Lizzi krzyknęła i zasłoniła sobie ręką usta. Tym razem karykaturzysta przeszedł samego siebie. Rysunek przedstawiał wnętrze restauracji. Lizzi była przywiązana do ogromnego stołu, a Ross pochylał się nad nią, ostrząc nóż. Otwarte menu stało oparte o brzuch Lizzi i można w nim było przeczytać: „Danie po tybetańsku. Smażona pierś Lodowej Góry w potrawce z chilli, biała skóra na słodko, a na deser chińska legumina z jabłek i naleśniki a la Yeti w syropie”. Nad drzwiami restauracji wisiała tabliczka: „Nr 13. Kolacje u Yeti”. Numer pokoju Rossa.

- Zdejmij to - szepnęła z naciskiem.

- Mnie się podoba. Niektóre pozycje brzmią bardzo zachęcająco.

Zaczerwieniła się.

- Nie wątpię. Szczególnie smażona pierś!

Roześmiał się i zdjął rysunek z tablicy.

- Co robisz z tymi wszystkimi dziełami sztuki?

- Zabieram je do domu, gdzie są bezpieczne. A co? Uważasz, że powinnam je wystawić na licytację podczas letniego przyjęcia?

- To jest myśl! - pstryknął palcami. - Nie chciałbym, żebyś je zniszczyła. Stanowią uroczą dokumentację naszych zalotów!

- Zalotów?

Ze złością wyrwała mu z ręki kartkę, złożyła ją i schowała do kieszeni.

- Tak, twoim zdaniem, nazywa się to, co wyrabia jeden z twoich pracowników? Łazi za nami krok w krok, a potem publicznie upokarza, wymyślając te idiotyczne historie!

Postawił herbatę na stole i uśmiechnął się z niewinnym wyrazem twarzy.

- Oczywiście, gdybym miał do dyspozycji samochód, byłoby mi znacznie łatwiej zabiegać o twoje względy, ale tak się składa, że ktoś mi go uszkodził...

Dała mu kuksańca i zanim zdążył złapać oddech, usiadła przy stole i zaczęła spokojnie popijać herbatę.

- Tak nie można! - jęknął.

- Zasłużyłeś sobie. Już cię przepraszałam. Nie mam zamiaru wysłuchiwać aluzji na ten temat do końca życia!

- Do końca życia? - spytał patrząc na nią z uwagą.

Zaczerwieniła się i odwróciła wzrok.

- Tak się tylko mówi.

Cisza, która zapadła po jej słowach, aż dzwoniła w uszach. Ujął ją za brodę i zwrócił w swoją stronę.

- Wydaje mi się, że byłbym skłonny polubić to powiedzenie - powiedział cicho.

Wokół rozmawiali ludzie, śmiali się, ale ich to nie dotyczyło. Zupełnie zapomnieli o otaczającym świecie.

On mówi poważnie! - pomyślała z paniką. - Naprawdę tak myśli! Z trudem skupiła się na tym, co do niej mówił.

- Słucham? Kiedy? Jutro?

- Pojedź ze mną do domu. Weźmiesz kostium do opalania i spędzimy razem dzień. Co ty na to?

Przygryzła wargę.

- Powinnam zostać z mamą...
- Skłamałbym mówiąc, że chętnie bym ją zaprosił, ale jeśli to jedyny sposób, to...
- Dopiero by ci dała do wiwatu - zachichotała. Spojrzał na nią ze zdziwieniem.
- Tak myślisz? Sądzę, że byłaby bardzo zadowolona, że udało mi się wyciągnąć cię z domu.
- Pewnie masz rację - westchnęła. - W porządku. Przyjadę po ciebie o dziesiątej.

Resztę dnia spędziła zastanawiając się, jak mogła być tak niemądra, żeby zgodzić się na jego propozycję, podczas gdy w nocy z wrażenia nie mogła zasnąć.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Ross, to wygląda wspaniale! - Lizzi stała na środku salonu i w zachwycie rozglądała się dookoła, - Och, teraz widzę, że całość naprawdę będzie imponująca!

- To się dopiero okaże. Pod koniec tygodnia położę dywan i ustawię meble. No i wreszcie będę mógł sprowadzić swoje ukochane obrazy. Bardzo za nimi tęsknię. Mam nadzieję, że wtedy ten dom stanie się przytulny i ciepły.

Chwytał ją za rękę i zaprowadził na górę.

- Chodź, zobaczysz sypialnię. Jest już prawie skończona.

Pokój był ogromny. Jedna ściana prawie całkowicie zrobiona ze szkła, a za nią rozciągał się imponujący widok na dolinę. Pozostałe ściany zostały pomalowane na biało. Ross chciał, aby ten pokój wyglądał jak najprościej. Miało to być miejsce, w którym będzie mógł odpocząć po ciężkiej pracy w klinice.

- Jakie tu wstawisz meble? - spytała, próbując sobie wyobrazić, jaki będzie wystrój wnętrza.

- Duże! Solidne sosnowe szafy, a łóżko z drzewa wiśniowego. Jest ogromne! Wiesz, jedno z tych francuskich cudów ze zdobieniami po bokach i kolumnami na rogach.

- Czy to antyk?

- Mhm - przytaknął. - Zdobyłem je w Prowansji. Wyobraź sobie, ile musiałem się namęczyć, żeby załatwić jego przewóz! Jest ogromne, ale za to

nieślychanie wygodne. Po ostatnich kilku nocach, spędzonych na tym twardym tapczanie, nie mogę się już doczekać, kiedy będę je miał z powrotem!

Stanęła przy oknie, rozkoszując się promieniami słońca, które grzały przez szybę. Ross miał w sobie tyle chłopięcego entuzjazmu, że aż zrobiło jej się przykro, iż nie ma go z kim dzielić. Gdyby tylko mogła stać się częścią jego życia! To było jednak niemożliwe. Jeśli pozwoliłaby mu zbliżyć się do siebie...

Poczuła na szyi gorący oddech. Ross stał tuż za nią.

- O czym myślisz? - spytał.

Bez słowa odwróciła się i z całej siły przytuliła do niego.

- Hej, co się stało? - szepnął w jej włosy. - Lizzi?

- Już nic - powiedziała i odsunęła się. - Co z naszym pływaniem?

Przyjrzał się jej z uwagą, ale o nic nie spytał.

- Twoje rzeczy są w holu. Przebierz się tutaj, a ja zaraz będę gotowy.

Przyniósł na górę torbę Lizzi i poszedł do innego pokoju. Kiedy się przebierała, nie mogła pozbyć się myśli, że robi coś niewłaściwego. To przecież tylko doleje oliwy do ognia! Nagle dół kostiumu wydał się jej zbyt wysoko wycięty, a góra zbyt wydekoltowana. Zabawne, gdy była na plaży albo na pływalni, kostium nie wzbudzał żadnych zastrzeżeń. Dopiero tutaj poczuła się w nim dziwnie nieswojo!

Kiedy zobaczyła Rossa zbiegającego po schodach w kierunku basenu, przygryzła dolną wargę. Jego silne, opalone ciało połyskiwało w słońcu, a rozbudowane mięśnie przesuwały się pod skórą przy każdym ruchu. Posmarował się olejkiem, a potem odwrócił się i pomachał jej ręką.

- Chodź! - krzyknął.

Wzięła głęboki, uspokajający oddech i zbiegła ze schodów.

Czekał na nią, patrząc z uśmiechem, jak schodzi. Ani przez chwilę nie dał po sobie poznać, że ocenia jej figurę. Rozluźniła się i poczuła trochę pewniej. Gdyby jeszcze mogła pozbyć się obawy przed kontaktem z jego ciałem!

Pas delikatnych, ciemnych włosów pokrywał szeroką pierś Rossa i zwięzając się, biegł w dół, ginąc pod wąskimi kąpielówkami, które były jedyną rzeczą, jaką miał na sobie. Długie, silne nogi również były owłosione. Kiedy zbliżyła się do niego, objął ją jednym spojrzeniem, a potem popatrzył w oczy. Jego wzrok był nieodgadniony.

- Wyglądasz trochę inaczej niż w ostatnią niedzielę - powiedział pogodnym tonem i wyciągnął dłoń.

Ujęła ją, niczego nie podejrzewając i w tej samej chwili znalazła się w wodzie.

Zanim zdołała się wynurzyć, Ross wskoczył za nią. Rozejrzała się niepewnie, ale nigdzie go nie dostrzegła. Dopiero kiedy uchwyt silnej ręki ponownie wciągnął ją pod wodę, zrozumiała, gdzie jest Ross. Ze śmiechem wypłynęli na powierzchnię i zaczęli ochlapywać się wodą jak dzieci. Kiedy mieli już dość, odwrócili się na plecy i wolno popłynęli na zalaną słońcem część basenu.

- Grasz nie fair - powiedziała.

- Na wojnie i w miłości wszystkie chwytty są dozwolone - odparł, uśmiechając się z zadowoleniem.

- Doprawdy?

Położyła rękę na środku jego brzucha i silnie nacisnęła w dół.

Zgiął się wpół i na chwilę zniknął pod wodą, po czym stanął na dnie i oparł ręce na biodrach.

- Bardzo zabawne - powiedział i wolno podszedł do niej. Nagle chwycił ją, podniósł, posadził sobie na ramię i tak trzymając wyszedł na brzeg.

Wolno zsuwał ją po swoim ciele. Szorstkie włosy, porastające piersi Rossa, ocierały się o jej uda, wywołując niezapomniane wrażenie. Oparła ręce na silnych ramionach, z rozkoszą dotykając chłodnej, gładkiej skóry. Ociągając się, pokonał ostatnie centymetry i Lizzi poczuła pod stopami ziemię. Spływały z nich cienkie strumyczki wody, tworząc na posadzce kałużę.

Choć pod palcami miała chłodną, mokrą skórę, czuła, że pod nią bije serce tak gorące, że zdolne rozgrzać nawet ten lód, który miała w sobie. Słoneczne promienie odbijały się w oczach Rossa, sprawiając, że była teraz skłonna zrobić niemal wszystko, o co by ją poprosił.

Wolno zsunął ręce po jej plecach i biodrach, i lekko ją odepchnął.

- Kusicielka - powiedział miękko i schylił się, żeby podnieść ręcznik. Podał go Lizzi, a sam energicznie wytarł się drugim.

Zadrzała z zimna. Owinał ją w swój ręcznik i zaczął silnie rozcierać, podczas gdy ona stała nieruchomo, starając się zapamiętać każdy dotyk jego rąk.

- Chodźmy do domu - powiedział. - Ubierzemy się, a potem pójdziemy na spacer.

Nie była przekonana, czy nogi nie odmówią jej posłuszeństwa, ale to nie był najlepszy moment, żeby o tym mówić. Twarz Rossa nie wyrażała żadnych uczuć, ale kiedy spojrzała w jego oczy, one powiedziały jej wszystko.

Przez resztę dnia starali się unikać fizycznego kontaktu. Poszli na długi spacer i w powrotnej drodze zjedli lunch w niewielkim pubie w wiosce. Po południu rozpakowali trochę książek i poustawiali je

na półkach w salonie. Kiedy słońce zaczęło zachodzić, zdecydowali, że czas wracać do szpitala.

Gdy zajechali na miejsce, Ross lekko dotknął jej ramienia.

- Zatrzymaj się gdzieś, gdzie moglibyśmy porozmawiać.

Wsunął rękę pod włosy Lizzi i zaczął delikatnie masować jej szyję.

Zadrżała.

- Zimno ci?

- Nie - potrząsnęła głową. - Nie, ja tylko... Po prostu...-urwała zmieszana.

Przytaknął głową, jakby rozumiał, o co jej chodzi.

- Musimy porozmawiać, Lizzi - powiedział cicho.

Zatrzymała samochód w cieniu dużego drzewa, w samym rogu niewielkiego parkingu. Wyłączyła silnik i w milczeniu czekała na to, co powie. Czego od niej chciał? Przez cały dzień zachowywał dystans, nawet wtedy, kiedy wyszli z basenu. Ona zresztą też. O co więc teraz mu chodzi? Chce wszystko skończyć, czy może dopiero zacząć?

- Popatrz na mnie - poprosił.

Odwróciła głowę i spojrzała na Rossa. Czułym gestem odgarnął jej z czoła kosmyk włosów i założył je za ucho.

- Tak jest lepiej. Przynajmniej widzę twoją twarz.

Opuścił rękę i odwrócił wzrok.

- Co ty o mnie myślisz? - zapytał tak cicho, że nie była pewna, czy w ogóle słyszała to pytanie.

- Co ja o tobie myślę?

- Tak. To znaczy czy mi ufasz?

- Oczywiście! Dlaczego miałabym ci nie ufać?

Ponownie spojrzał na nią i wzruszył ramionami.

- Dziś na basenie, po wyjściu z wody, wyczułem, że czegoś się obawiasz. Nie chcę cię zranić, Lizzi. Nie zrobię niczego, co mogłoby sprawić ci ból.

- To było coś więcej niż strach. Byłam...

- Przerażona?

Uśmiechnęła się lekko.

- Po prostu... Byliśmy tak... Och, Ross, byłam...

Delikatnie przesunął palcem po jej policzku. To wystarczyło, aby poczuła, że cała płonie.

- Ja też byłem - szepnął. - Musiałem się upewnić, co do mnie czujesz.

- Co czuję? - zdołała z siebie wydusić. W tej chwili czuła jedynie gorące palce przesuwające się po jej skórze.

- Tak. Minał dopiero tydzień, ale znasz mnie już wystarczająco dobrze, żeby wiedzieć, czy chcesz poznać mnie lepiej.

- Tak, naturalnie. To znaczy, w tej chwili niczego nie jestem pewna...

- Ale chcesz dowiedzieć się o mnie więcej, prawda?

- O, tak. Naprawdę chcę. Bardzo cię lubię, Ross. Chciałabym poznać cię lepiej i zaprzyjaźnić się...

Przerwał jej przeciągły jęk.

- Przestań, Lizzi. Musimy raz na zawsze wyjaśnić sobie pewną sprawę. Nasz związek nie jest tylko przyjaźnią. Wiem, że jest zbyt wcześnie, aby mówić o miłości, ale nic nie poradzę na to, że jakaś wewnętrzna siła każe mi spotykać się z tobą. Często myślę o tobie w ciągu dnia, a nocą marzę, żebyś była ze mną. Nie potrafię przestać, a zresztą wcale tego nie chcę! Ale kiedy zobaczyłem wyraz twojej twarzy, dziś, na basenie... Dlaczego tak się mnie boisz? Sądziłem, że myślisz podobnie, ale nagle zdałem sobie sprawę, że tak nie jest.

Wsunął rękę pod włosy Lizzi i zaczął głaskać ją po szyi.

- Powiedz prawdę, skarbie. Powiedz mi, co czujesz. Muszę to wiedzieć, bo zwariuję!

Westchnęła i pochyliła głowę, poddając się jego pieśszczocie. Po chwili wyprostowała się i spojrzała mu prosto w oczy. Dostrzegła w nich tylko ból.

- Och, Ross, nie chcę cię zranić, ale nic na to nie poradzę! Przybrałeś za ostre tempo. Minęło tyle czasu od... i tak bardzo się zmieniłam! Nie potrafię okazywać swoich uczuć. Sama nie jestem ich pewna, a co dopiero mówić o nich z kimś innym!

Nie odrywał od niej wzroku, chłonąc każde słowo.

- Proszę tylko o to, żebyś spróbowała. Po prostu myśl głośno. Nigdy nie użyję przeciw tobie tego, co u s ł y s z ę . |

- Dobrze.

Odezwała się tak cicho, że musiał przysunąć się bliżej, aby cokolwiek słyszeć.

- Chyba nie chcesz być więcej sam, prawda?

- Nie chcę popełnić kolejnego błędu, ale chyba dojrzałem do tego, żeby znów dzielić z kimś życie.

- Tak myślałam. Dla mnie to jest trudne do zaakceptowania. Muszę brać pod uwagę, że mam matkę, która mnie potrzebuje, i której nie chciałybym zawieść. Z drugiej strony, trudno mi znieść myśl, że mógłbyś związać się z kimś innym. Uwielbiam z tobą przebywać i tak wiele ci zawdzięczam! Przypomniałeś mi, co to znaczy się śmiać i sprawiłeś, że wszystkie uczucia, które kiedyś odrzuciłam, zaczęły powracać. W pewnym sensie to jest wspaniałe, choć także przynosi ból. Zmusiłeś mnie, żebym przyjrzała się samej sobie i temu, jaką widzą mnie ludzie. To nieprawda, że ja się niczym nie przejmuję. Przejmuję się nawet za bardzo, ale nie chcę tego okazać na zewnątrz. Boję się, że ludzie mogliby mnie zranić.

- Mnie także łatwo zranić, Lizzi - westchnął.

- Tylko że ja staram się panować nad uczuciami, a nie tylko je rozpamiętywać. Pływam, biegam,

pracuję. Ty zamykasz się w sobie i pozwalasz, żeby wspomnienia zdominowały twoje życie.

- Przynajmniej nie zamęczam nimi innych ludzi.

- Wręcz przeciwnie! Czy wiesz, co robilibyśmy teraz, gdybyś nie miała takich obiekcji?

- Nie...

- Ależ tak! Wiesz doskonale!

- To dzieje się zbyt szybko...

- Dobrze wiesz, że pragniemy się od momentu, w którym się spotkaliśmy.

Zaczerwieniła się i spuściła wzrok.

- Ross, proszę cię...

- Przecież to prawda! Dlaczego nie chcesz się do tego przyznać?

- Nie złość się!

- Przecież się nie złościę - pochylił się i ujął jej dłoń. - Nie jestem zły, tylko zniecierpliwiony i może trochę zawiedziony. Chcę dostać od ciebie znacznie więcej, niż otrzymuję i pewnie więcej, niż w ogóle będziesz chciała kiedykolwiek mi dać. Jeśli tak jest, to powiedz mi o tym, zanim będzie za późno.

- A czego konkretnie ode mnie oczekujesz?

- usłyszał jej szept.

- Wszystkiego! Twojego serca, umysłu, ciała. Wszystkiego!

- Och, Boże, nie! - Serce zaczęło jej walić jak oszalałe. Westchnęła i zacisnęła palce na jego dłoni.

- Nie mogę, Ross...

- Dlaczego nie chcesz przynajmniej spróbować? Musisz dać nam szansę, żebyśmy przekonali się, czy możemy razem żyć. Uważam, że jedyne, czego nam potrzeba, to czasu.

- Właśnie! Czy możesz więc coś dla mnie zrobić, Ross? Możesz mi dać więcej czasu? Tak bardzo się boję...

- Nie obawiaj się. Cały czas będę przy tobie.

- Boję się, że coś się stanie... Boję się, że umrzesz...

Przycisnęła rękę do ust, starając się powstrzymać szloch. Czuła, że za chwilę paniczny, nieubłagany strach zawładnie nią na zawsze. I wtedy ciepła, silna ręka Rossa spoczęła na ramieniu Lizzi. W jednej chwili znalazła się w jego objęciach. Gładził ją po włosach, szepcząc do ucha czułe słowa pocieszenia.

Kiedy się trochę uspokoiła, pocałował ją lekko i spojrział na nią z taką troską, że jej oczy ponownie wypełniły się łzami.

- Dam ci tyle czasu, ile będziesz potrzebowała. Znam już odpowiedź na swoje pytanie, więc mogę czekać. Gdyby ci na mnie nie zależało, nie bałabyś się tak bardzo.

Mylisz się, chciała zawołać. To o siebie się martwię, nie o ciebie. To ja będę cierpieć, kiedy odejdziesz! Zamiast mu to powiedzieć, przystała na jego propozycję. Zgodziła się, by sprawy toczyły się własnym trybem, niezależnie od tego, dokąd miało to zaprowadzić.

- W przyszłą sobotę wydaję przyjęcie. Mogłabyś mi trochę pomóc? To będzie Wielkanoc i wszyscy dostawcy zostali już wynajęci na wesela. Pomyślałem, że kupię po prostu kilka skrzynek wina, trochę jedzenia i postawię na stole, żeby każdy sam się obsługiwał, ale mimo to przydałaby mi się czyjaś pomoc. Będziesz pracować?

- Nie. Sobotę akurat mam wolną. Mam dyżur w Wielki Piątek i w Niedzielę Wielkanocną.

- Świetnie - uśmiechnął się. - A teraz chyba poproszę cię, żebyś odwiozła mnie do szpitala. Mam jutro kilka operacji, a chciałbym jeszcze zajrzeć do pacjentów. Będziesz jutro w pracy?

- Nie. Rano jest Lucy Hallett i Linda Tucker, a po południu Sarah Godwin z Ruth Warnes. Ja mam dyżur dopiero we wtorek na drugą zmianę.

- Będę za tobą tęsknił. Czy zobaczymy się jutro wieczorem?

- Ross, powiedziałaś, że nie będziesz mnie poganiał...

- Przecież chcę tylko cię zobaczyć... No, już dobrze! Ale mogę o tobie myśleć?

- I tak nie będę o tym wiedziała.

- Będiesz - uśmiechnął się przekornie. - Już ci o tym powiedziałem!

Starła się zachować powagę, ale nie wyszło jej.

- Żartowniś z ciebie!

Zapaliła silnik i podjechała pod internat. Ross otworzył drzwi, ale zanim wysiadł, pocałował ją mocno w usta. Potem cofnął się i uśmiechnął.

- Miłego weekendu, sestro Lovejoy. Będę o tobie myślał. Do zobaczenia we wtorek. I dziękuję za podwiezienie.

Zatrzasnął drzwi i pomachał ręką na pożegnanie. Kiedy odjeżdżała, spostrzegła Mitcha Bakera idącego pod rękę z Lucy Hallett. Pozdrowili ją, więc nie mogła udać, że ich nie zauważa. To był cały urok szpitalnego życia - ani odrobiny prywatności. Miała nadzieję, że w tym tygodniu nie będzie spotykać Mitcha zbyt często.

Jedyna pociecha, że Ross zaakceptował jej warunki. Czy jednak naprawdę tego chciała?

Przez cały tydzień widziała Rossa zaledwie kilka razy, i to nigdy samego. Ze zdziwieniem odkryła, że bardzo tęskni za jego towarzystwem. Podczas każdego spotkania widziała, jak Ross walczy ze sobą, żeby nic nie powiedzieć i nie wiedziała, jak dać mu do zrozumienia, że wcale nie chce, żeby był aż tak powściągliwy.

Przynajmniej ich karykaturzysta nie miał materiałów do rysowania dalszych odcinków swego

komiksu. Ograniczał się jedynie do dowcipów o Yeti, które niemal każdego dnia pojawiały się na tablicy.

Była środa i właśnie popijali w świetlicy kawę, kiedy podszedł do nich roześmiany Jesus Marumba.

- Wiecie, jak wysterylizować Yeti? - zapytał.

- Poddaję się - odparł Ross. - Nie mam zielonego pojęcia.

- Trzeba rozpuścić jego śniegowe kule.

- Jesteś gorszy niż moje dzieci - jęknął Ross.

- Jeśli usłyszę jeszcze jeden dowcip o Yeti - powiedziała Lizzi, wznosząc ku niebu oczy - to zacznę krzyczeć!

- A słyszeliście ten, jak Yeti...

Nie pozwolili mu dokończyć. Obrzucili go kulkami z serwetek, chyba wszystkich, jakie były na stole.

- Może jeszcze tylko jeden?

- Nie! - krzyknęli zgodnie.

Marumba westchnął i wyjął z kawy jedną z papierowych kulek.

- Nie rozumiem, dlaczego jesteście tacy przewrażliwieni na punkcie tych dowcipów...

- Zrozumiałbyś, gdyby dotyczyły ciebie.

- Dwa lata temu przeżyłem dokładnie to samo.

Ktoś wziął się na mnie i Olivera, i ciągle wymyślał dowcipy na nasz temat. W końcu wszystko ucichło, ale mieliśmy z tego powodu wystarczająco dużo kłopotów.

- Czy Mitch Baker pracował już wtedy w szpitalu? - zainteresował się Ross.

Jesus pomyślał przez chwilę, a potem przytaknął.

- Tak mi się wydaje. Chyba odbywał staż. A dlaczego pytasz? Myślisz, że to on?

- Nie wiem. Zawsze zjawia się koło nas w najmniej oczekiwanym momencie. Na początku podejrzewaliśmy Jamesa...

- Hardy'ego? Nie. Dwa lata temu jeszcze go tu nie było, a poza tym na pewno rozpoznałbym jego rękę.

- Też go wykluczyliśmy. Nie umie wyraźnie pisać, nie mówiąc już o rysowaniu. Zaproszę Mitcha na sobotnie przyjęcie i zobaczę, co z tego wyniknie. Mam nadzieję, że wy też przyjdziecie?

- Jasne! Lucy nie może się doczekać, żeby obejrzeć twój dom. Coś czuję, że zaczniesz mnie prosić, abyśmy przeprowadzili się na wieś!

Powiedzieli Jesusowi, jak dojechać do domu Rossa i Lizzi wróciła na oddział. Martwiła się o panią Turner, którą operowano w piątek z powodu pękniętego wyrostka robaczkowego. Jej stan pogorszył się i trzeba było wezwać Rossa.

Właśnie zjawił się Mitch Baker, więc poprosiła go, żeby do niej zajrzał.

- Wymiotuje? - zdziwił się. - Zastanawiam się dlaczego. Wczoraj czuła się bardzo dobrze i zleciłem jej lekko strawną dietę.

- Czy było słycać perystaltykę?

- Tak, jestem tego pewien. Co wczoraj zjadła?

Zajrzała do zeszytu.

- Chudy bulion i grzanekę, a na kolację zapiekanekę z mięsa i ziemniaków. Kto jej to dał?

Mitch westchnął.

- Idę ją zbadać. Jeśli ma niedrożność porażenną jelit, Yeti mnie zabije!

Yeti? Wszyscy w szpitalu oglądali rysunki, więc to, że użył tego przezwiska, niczego nie dowodziło. Jednak powiedział to tak naturalnie...

Rozległ się dźwięk telefonu. Podeszła do stołu i podniosła słuchawkę.

- Chirurgia, siostra Lovejoy.

- Cześć, skarbie. Dzwoniłaś do mnie, więc się zgłaszam.

- Cześć, Ross - powitała go uśmiechem. - Pani Turner wymiotuje. Mitch zlecił wczoraj lekko strawną dietę i chyba coś jej zaszkodziło. Trochę się zdenerwował. Poszedł ją teraz zbadać.

- Zamorduję go! - zagroził.

- Chyba nie będzie zbyt zaskoczony. Powiedział, że Yeti na pewno go zabije!

- Zaraz się zajmę tym łobuzem. Nie pozwól mu odejść, za moment tam będę.

Zajrzała do pokoju pani Turner, a potem poszła przygotować sondę żołądkową i dożylny wkłucia. Była prawie pewna, że u pacjentki rozwinęła się niedrożność porażenna jelit. Mitch za wcześnie zdecydował się podać jej stałą dietę. Zastanawiała się, co Ross ma zamiar zrobić w tej sytuacji.

Nie czekała długo. Po chwili odnalazł ją w pokoju zabiegowym. Jego mina nie wróżyła nic dobrego.

- Biedny Mitch! - powiedziała współczująco.

- Biedny? Ten człowiek jest niebezpieczny! Powinien być zwolniony z pracy. Masz wszystko gotowe? Musimy oczyścić jej żołądek, a potem podać płyny.

- Wszystko przygotowałam - powiedziała, wskazując ręką wózek.

- Więc chodźmy. Za każdym razem, kiedy wymiotuje, istnieje niebezpieczeństwo, że puszczą szwy. A zapalenie otrzewnej to ostatnia rzecz, której nam teraz potrzeba!

Powstrzymała uśmiech i wyszła za nim, prowadząc przed sobą wózek zabiegowy.

Kiedy weszli na salę, Mitch odsunął się i pozwolił Rossowi zbadać chorą.

- Tak. Musimy zaaspirować dużo płynu i chyba trzeba będzie założyć do żołądka sondę, żeby gazy łatwiej wydostawały się na zewnątrz. Myślę, że łatwiej nam będzie, jeśli ją posadzimy.

Założyli rękawiczki i pomogli pani Turner unieść się na łóżku. Lizzi rozpakowała zestaw i podała sondę Rossowi. Polecił pacjentce kilka razy przełknąć i wprawnym ruchem wprowadził rurkę do nosa, i dalej do żołądka. Lizzi podłączyła strzykawkę i kilka razy zaaspirowała treść wypełniającą przewód pokarmowy biednej pani Turner.

- Lepiej? - spytała cicho.

Starsza pani skinęła głową i opadła na poduszkę.

- Och, znacznie lepiej! Myślałam, że pęknę, ale teraz jest już dobrze.

- To się często zdarza, pani Turner - powiedział Ross. - Będziemy musieli powtórzyć ten zabieg kilkakrotnie i założyć wenflon. Trzeba pani przetoczyć trochę płynów.

- Dziękuję, doktorze Hamilton. Jestem pewna, że wszystko będzie dobrze.

- Na pewno, daję pani słowo. A teraz proszę podwinąć rękaw.

Kiedy wszystko było zrobione, Lizzi poleciła Amy Winship, żeby została przy chorej, by mierzyć jej puls i aspirować treść żołądka co piętnaście minut.

Ross pogroził Amy palcem i powiedział, żeby dzwoniła, jeśli tylko zaczniesz się dźbiać coś niepokojącego.

Lizzi powstrzymała uśmiech i poszła do dyżurki.

- Po co straszysz dziewczynę? - zapytała, kiedy do niej dołączył.

- Przecież żartowałem - odparł i przyciągnął ją do siebie. - Tęskniłem za tobą.

- Ja także. Co chcesz zrobić z Mitchem?

- Jeszcze nie wiem. W tej chwili chętniej zrobiłbym coś z tobą.

Odepchnęła go właśnie w chwili, gdy otworzyły się drzwi i wszedł Mitch Baker.

- Ach, doktor Baker - powiedział Ross słodkim głosem.

- Właśnie miałem zamiar zaprosić pana na małą pogawędkę.

Lizzi zostawiła ich samych.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Kiedy tego popołudnia wróciła do domu, zastała matkę przeglądającą swoje ubrania.

- Cześć - powiedziała pogodnym tonem i pocałowała Mary w policzek. - Zabrałaś się wreszcie do porządkowania tego bałaganu?

Potem przyjrzała się bliżej odłożonym sukienkom i zmarszczyła brwi.

- Nie marszcz się, kochanie, to bardzo postarza. Właśnie miałam ci coś powiedzieć. Wyjeżdżam.

Lizzi odsunęła zielonąjedwabną sukienkę i ciężko usiadła na łóżku.

- Dokąd jedziesz? Z kim? Po co? Dlaczego?

- Jadę do Yorkshire z kolegami z koła plastycznego. A dlatego, że chcę - odparła twardo matka.

- Zorganizowano na wsi malarski weekend, ale nie mogą jechać wszystkie grupy. Wytypowano moją grupę. Jeśli zostanę w domu, to moja grupa odpadnie, chyba że zapłacę za swój pobyt. Absolutnie nie mogę ich zawieść. Nie uważasz, kochanie, że byłby to duży wstyd?

- Mnie się o to pytasz? To ty powinnaś się zastanowić! Jak sobie poradzisz ze schodami? Kto cię rozbierze i położy do łóżka? Jak sobie to wszystko wyobrażasz?

Prawie krzyczała, lecz po chwili opanowała się, próbując spokojnie trafić do rozsądku matki.

- Czy naprawdę rozważyłaś wszystkie za i przeciw?

Matka uśmiechnęła się pobłażliwie.

- Oczywiście, że tak, kochanie. Nie jestem kompletną idiotką. Jak dotąd, straciłam jedynie władzę w nogach!

- Przepraszam - odparła Lizzi, którą dotknęła uwaga matki. - Ale jak sobie poradzisz beze mnie?

- Będzie tam Jean, a poza tym są tam wszelkie wygody dla niepełnosprawnych. Boże, jak ja nie cierpię tego słowa!

Rzuciła na łóżko bieliznę i podjechała wózkiem pod komodę.

- Jak myślisz, które sukienki powinnam wziąć? Mam teraz takie chude nogi, że najchętniej nosiłabym tylko spodnie, ale muszę mieć coś do przebrania się, będę przecież siadała ze wszystkimi do obiadu.

Lizzi nie wiedziała, co o tym myśleć. Pomogła matce wybrać kilka sukienek, które nadawały się na taką okazję, a jednocześnie zbytnio się nie gniotły.

- Kiedy jedziecie?

- Jutro po południu. Edward zabierze mnie i Jeana swoim samochodem.

- Edward? - Lizzi nie mogła ukryć zdziwienia. Nie była pewna, ale przez moment miała wrażenie, że matka zaczerwieniła się.

Mary milczała, zbierając ze stolika przybory toaletowe.

- To mężczyzna z naszej grupy - odpowiedziała po chwili.

Lizzi z uwagą przyjrzała się matce.

- Żonaty?

- Chyba wdowiec. Kochanie, mogłabyś wyjąć mi z szafy tę zieloną walizkę?

Lizzi bez trudu zorientowała się, że matka specjalnie zmieniła temat, ale bez słowa wstała i spełniła jej prośbę. Potem zabrała się do pakowania walizki, rzucając na nią ukradkowe spojrzenia.

- Może przestaniesz wreszcie tak na mnie patrzeć?

- Przepraszam - westchnęła. - Po prostu to takie dziwne, że wyjeżdżasz i...

- I chcesz miło spędzić czas, tak? - przerwała jej matka. - Elizabeth, od siedmiu lat siedzę w tym domu i użalam się nad sobą. W końcu powiedziałam „dość”! Mam zamiar inaczej spędzić resztę życia, nawet jeśli tobie nie będzie się to podobało!

- Mamo, to nie o to chodzi! Mam nadzieję, że będziesz się doskonale bawić. Po prostu martwię się, że będzie ci bardzo trudno, to wszystko.

- A jeśli nawet, to co? Przecież tam nie umrę! Lizzi, przestań robić tragedię. Pomóż mi lepiej sprzątnąć ten bałagan i zrobmy sobie jakąś pyszną kolację. Na którą idziesz jutro do pracy?

- Na ósmą. Kiedy masz zamiar wrócić?

- W poniedziałek wieczorem. A teraz podejdź i uściśnij swoją starą matkę!

Lizzi pochyliła się i objęła jej drobne ramiona.

- Kocham cię, mamuś - szepnęła.

Potem podniosła się i dokończyła pakowanie. Po kolacji od razu poszły spać, a rano Lizzi pomogła matce przygotować się do wyjścia i postawiła walizkę pod drzwiami.

- Zadzwoń do mnie - powiedziała stanowczym głosem i wyszła do pracy. Ciągłe była pełna wątpliwości, choć pogodziła się już z faktem, że matka wyjeżdża bez jej opieki.

Kiedy wróciła do domu, po raz pierwszy od siedmiu lat poczuła się zupełnie osamotniona. Wieczór ciągnął się w nieskończoność i wielokrotnie spoglądała na telefon, mając nadzieję, że zadzwoni Ross. Już miała sama sięgnąć po słuchawkę, ale w ostatniej chwili rozmyśliła się. Wzięła kąpiel i poszła spać.

W piątek miała popołudniowy dyżur, więc przynajmniej nie musiała się martwić, jak spędzić kolejny samotny wieczór. W przerwie na lunch pojechała kupić sobie sukienkę na sobotnie przyjęcie. Po długich wahaniach wybrała jedwabną kreację w niebieskim kolorze, który doskonale podkreślał błękit jej oczu. Wyglądała w niej wspaniale. Kupiła także kremową bieliznę z cieniutkiej satyny i wróciła do szpitala.

Zaledwie zdążyła wejść na oddział, kiedy, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, do drzwi dyżurki zapukał Ross.

- Cześć - przywitał ją.

- Witaj. Nie widzieliśmy się od środy. Co porabiałeś?

- Byłem tu i tam - uśmiechnął się. - Odebrałem samochód i wyprowadziłem się ze szpitala. Wczoraj przywieziono do domu moje rzeczy, więc musiałem je jakoś rozlokować.

- Jak teraz wygląda dom?

- Nieporządnie - roześmiał się. - Trzeba jeszcze bardzo dużo zrobić.

- A co z Mitchem?

- Ciągle jeszcze liże rany po rozmowie, jaką odbyliśmy w środę. Zaprosiłem go, ale nie wiem, czy bardziej obawiać się jego przyjscia, czy pozostawienia go samego w szpitalu! A przy okazji, jak się ma pani Turner?

- Coraz lepiej. Perystaltyka powoli powraca i usunęliśmy już sondę. Nie ma też problemów z bilansem płynów.

- Świetnie. Myślę, że możemy zaprzestać aspiracji i zacząć jej podawać wodę do picia. Zobaczymy, jak się będzie czuła.

Pochylił się i delikatnie ujął Lizzi pod brodę, unosząc jej twarz.

- O której jutro przyjedziesz?

Przeszedł ją dreszcz. Wielkie nieba, przecież on tylko lekko dotknął jej twarzy! Co się z nią dzieje? Opanowała się i spokojnie odpowiedziała na pytanie.

- O której chcesz. Mama wyjechała na weekend, więc mogę być nawet o dziewiątej.

- Doskonale. Teraz muszę już lecieć. Będę czekał na ciebie jutro rano. Do zobaczenia.

Szybko ją pocałował i zniknął, zanim zdążyła coś powiedzieć.

Westchnęła i poszła dać pani Turner trochę wody do picia.

Amy bardzo zaprzyjaźniła się ze swoją pacjentką, co w dużej mierze pomogło jej odzyskać utraconą pewność siebie. Pogawędziły chwilę z panią Turner, a potem przeszły do dyżurki.

- Zdaje się, że byłaś wzywana na Komisję Dyscyplinarną, tak? - spytała Lizzi.

- Tak. Zupełnie nie wiem, co mnie wtedy podkuśło, ale jedno jest pewne. Nigdy więcej nie popełnię takiego błędu! Powiedzieli mi, że jeśli jeszcze raz zdarzy mi się coś podobnego, będę mogła pożegnać się z zawodem pielęgniarki.

- To zależy od tego, jak poważne byłyby to przewinienia. Pamiętam, że kiedy sama zaczynałam pracę, umyłam termometry w gorącej wodzie i pękło mi dwadzieścia osiem sztuk! Byłam pewna, że moja przyszłość została przesądzona! Niewątpliwie trzeba być bardzo ostrożnym i pytać o wszystko, co budzi choćby cień wątpliwości. W twoich rękach spoczywa życie pacjentów, a to przecież ogromna odpowiedzialność! Jeśli będziesz miała głowę na karku, Amy, wszystko będzie dobrze. A teraz powiedz mi, jak się czuje pani Adams?

- Jest bardzo przygnębiona.

- Mogę sobie wyobrazić - powiedziała Lizzi.
- Pójdę zamienić z nią kilka słów. Jutro wychodzi do domu, prawda?

- Tak. Zupełnie nie wiem, jak to zniesie. To musi być dla niej piekło. Tak naprawdę, to trudno nam sobie wyobrazić, co teraz czuje.

Lizzi zmusiła się do uśmiechu.

- Każdy z nas musi przecierpieć swoje w życiu.

Amy przechyliła na bok głowę i spojrzała z namysłem na Lizzi.

- Czy kiedykolwiek była pani mężatką?

Lizzi otworzyła już usta, aby odpowiedzieć, że nic jej do tego, ale w ostatniej chwili powstrzymała się.

- Tak, byłam. Doskonale wiem, przez co musi teraz przejść Jennifer Adams. Dlatego właśnie chcę z nią chwilę porozmawiać.

Zostawiła osłupiałą Amy i poszła do pokoju Jennifer. Znajdował się on na samym końcu oddziału, aby zapewnić pani Adams jak najwięcej spokoju. Lizzi doskonale wiedziała, że to dla niej najważniejsza rzecz, choć zdawała sobie również sprawę, że nie można zostawić jej zbyt wiele czasu na myślenie. Groziło to katastrofą.

Próbowała kilkakrotnie rozmawiać z Jennifer, ale dziewczyna nie była jeszcze gotowa do dzielenia się swymi przeżyciami z kimś obcym.

Tym razem Lizzi czuła, że musi zdobyć się wobec niej na szczerość.

- Dzień dobry, siostró. - Jennifer powitała ją bezbarwnym głosem.

- Witaj. - Lizzi nabrała głęboko powietrza i usiadła obok dziewczyny. - Jak się dziś czujesz?

Jennifer wzruszyła ramionami.

- Normalnie. Budzę się, czekam, aż minie dzień, idę do łóżka, a czasami nawet śpię. Jakoś żyję.

- Z czasem będzie ci łatwiej - powiedziała cicho.
- Na początku będziesz myślała o mężu każdego dnia, a nocą będziesz wyciągała rękę tylko po to, żeby stwierdzić, że nie ma go obok ciebie. Będziesz się złościć i nienawidzić wszystkiego, co przyczyniło się do jego śmierci: alkoholu, młodych mężczyzn, samochodów. Będziesz obwiniać samą siebie za to, że wtedy prowadziłaś, że zatrzymałaś się, aby poprawić makijaż, że jechałaś zbyt szybko. Lista będzie bardzo długa. Kiedy już dojdiesz do jej końca i nie pozostanie nic, co mogłabyś nienawidzić, będziesz wymyślać kolejne przyczyny. A gdy nie będziesz już w stanie wymyślić nic nowego, stwierdzisz, że wokół ciebie pozostała jedynie pustka. Posłuchaj, coś ci zacytuję: „Nawet największy smutek nie może trwać wiecznie. Kiedy minie, a ty nie znajdziesz w niczym oparcia, zostaniesz sam. Nie wolno ci do tego dopuścić, bo samotność oznacza śmierć”.

Jennifer patrzyła na nią oczami pełnymi łez.

- Skąd pani to wie? Skąd pani wie, jak ja się czuję, jak...

- Mój mąż... - powiedziała łamiącym się głosem.
- Miałam trochę mniej lat niż ty teraz. Byliśmy małżeństwem niecały rok. Zostaliśmy zaproszeni na uroczysty obiad w rocznicę ślubu moich rodziców. Miałam grypę i zostałam w domu. Pojechali sami, a kiedy wracali, uderzył w nich pijany kierowca. David i ojciec zginęli na miejscu. Tata miał złamany kręgosłup, a mój mąż uraz głowy. Mama od czasu wypadku nie ma władzy w nogach. Mieszkałam z nią razem.

- Ile czasu potrzebowała pani, aby zacząć z powrotem żyć?

- Nie wiem - wzruszyła bezradnie ramionami.
- Kilka lat. Nie jestem pewna, czy całkiem mi się to udało.

- Słyszałam wczoraj, jak dwie pielęgniarki rozmawiały o pani i doktorze Hamiltonie. Powiedziały, że często się widujecie.

- Tak - przyznała. - To nic poważnego, chociaż myślę, że jemu bardzo na tym związku zależy.

Jennifer zamknęła oczy.

- Nie zniosłabym, gdyby dotknął mnie inny mężczyzna. Tak bardzo kocham Petera! Nie mogę pogodzić się z tym, że go nie ma!

Łzy popłynęły jej po policzkach i Lizzi objęła ją, pozwalając, by się wyplakała.

Dziwne, ale w tej chwili nie odczuwała nic, poza współczuciem. Czy Ross uczynił dla niej aż tak wiele? Czy naprawdę udało mu się uwolnić ją z klatki, w której żyła przez tyle lat?

A więc coś podobnego znów może jej się przydarzyć?

Zmusiła się, żeby nie myśleć o sobie i zajęła się Jennifer. Kiedy uznała, że może już zostawić ją samą, wróciła na oddział i przygotowała wieczorne leki. Potem sporządziła dokumentację nowo przyjętego pacjenta i zmieniała opatrunki pacjentom na sali pooperacyjnej.

Gdy wreszcie wróciła do domu, była wykończona, choć w dobrym nastroju. Udało jej się wykonać I swoje obowiązki i pocieszyć człowieka, nie tracąc przy tym autorytetu. Nie było to nic nadzwyczajnego, ale dla niej oznaczało kolejne zwycięstwo nad sobą. Była zaskoczona i jednocześnie szczęśliwa. Jak widać, być człowiekiem wcale nie jest najtrudniejszą rzeczą pod słońcem!

Sobotni poranek powitał ją piękną, słoneczną pogodą. Powietrze było rześkie i czyste, a niebo prawie bezchmurne. Wstała z łóżka i śpiewając poszła wziąć prysznic.

Wczorajsze dobre samopoczucie nadal jej nie opuszczało i z radością myślała o przyjęciu, na które została zaproszona. Już to samo w sobie było zadziwiające, gdyż do tej pory unikała wszelkich spotkań towarzyskich. Teraz jednak było inaczej. Ona sama była dziś inna.

Do drzwi Rossa zapukała kwadrans przed dziewiątą. Otworzył ubrany tylko w stare dżinsy, a wilgotne od kąpieli włosy połyskiwały na słońcu.

- Wejdz - przywitał ją z uśmiechem. - Przed chwilą wyszedłem z basenu. Było cudownie! Zrób kawę, a ja zaraz do ciebie dołączę.

Wbiegł po schodach na górę, a Lizzi weszła do kuchni i stanęła jak wryta. Na podłodze stało tyle pudeł, że z ledwością można było między nimi przejść. Ekspres do kawy i czajnik znalazła w samym rogu bufetu, wciśnięte między patelnie a stojące do góry nogami pudełko z napisem: „Nie dotykać, prywatne!”.

Zanim znalazła dwie filizanki, Ross zdążył wrócić. Miał już suche włosy i unosił się wokół niego subtelny zapach dobrej wody kolońskiej. Ku jej uldze, zapiął koszulę pod samą szyję.

- Od czego zaczynamy?

- Myślę, że od wypicia kawy - uśmiechnął się.

- Na szczęście znalazłaś prawdziwą.

- Wcale nie musiałam jej szukać! To jedyna rzecz, która nie była zapakowana! A przy okazji, co jest w tym pudle? - spytała, wskazując na stojącą na bufecie paczkę.

- Bóg raczy wiedzieć! To Calluma. Nie śmiem nawet podejść do niego zbyt blisko, nie mówiąc o otwieraniu. Zaniosę je do jego pokoju.

Wziął pudełko i ujął Lizzi za rękę.

- Chodź, pokażę ci sypialnię.

Posłusznie poszła za nim. Wchodząc po schodach patrzyła na mięśnie Rossa, naprężające się pod

cienkim materiałem spodni. To widok, do którego mogłabym się przyzwyczaić, pomyślała i uśmiechnęła się do siebie.

Na samej górze Ross nagle odwrócił się i przyłapał ją na tym, że mu się przygląda. Ubawiło go jej zmieszanie.

- Patrzysz na te wszystkie moje cuda, skarbie?
- zażartował.

- Pochlebiasz sobie! - odparła z udanym oburzeniem.

Postawił na ziemi pudło i zwrócił się w jej stronę.

- Czy mówiłem ci już, jak ślicznie dziś wyglądasz?

- Och, Ross! - W jednej chwili poczuła się tak bardzo kobieco! Potrząsnęła głową, żeby zakryć włosami zarumienioną twarz, ale Ross rozgarnął je, pochylił się i mocno ją pocałował.

Z westchnieniem objęła go i przyciągnęła do siebie. I to był błąd. W jednej chwili porwał ją na ręce, zaniósł do sypialni i położył na samym środku ogromnego, drewnianego łóża.

- Nareszcie jesteś tu, gdzie chciałem, byś się znalazła! - powiedział, robiąc ręką przesadnie szeroki, teatralny gest i rzucił się na łóżko.

Zachichotała i odsunęła się na bok. Spróbował ją złapać, ale poturlała się jeszcze dalej, aż wylądowała na podłodze.

- Nic ci się nie stało? - Dostrzegła nad sobą zmartwioną twarz Rossa.

Uśmiechnęła się i usiadła.

- Chyba nic.

Niepewnie poruszyła ręką. Ross ujął ją za ramię i delikatnie wciągnął na łóżko.

- Jesteś pewna? Może cię zbadam?

- Jeśli coś mnie boli, to już raczej pośladek.

- Odwróć się. Muszę mieć pewność, że nic mu się nie stało... Auu! A to za co? - Masował ramię, w które oberwał kuksańca.

- Za nieprzyzwoite zachowanie. Lepiej mnie pocałuj - powiedziała. Pożałowała tego, jeszcze zanim skończyła mówić.

W jednej chwili Ross spoważniał.

- Nie zrobię tego - powiedział cichym głosem.
- Chyba że chcesz, żeby dzisiejsze przyjęcie się nie odbyło.

Wstał i podszedł do okna. Oddychał ciężko i nerwowym gestem przeczesywał palcami włosy.

- Ross? - szepnęła. - Ross, co ja takiego powiedziałam?

- Nic. Daj spokój.

- Ross, proszę! Czy zrobiłam coś nie tak?

Zacisnął pięści i wsunął je do kieszeni spodni.

- Nie. Powiedz mi tylko jedną rzecz. Na jak wiele byłaś gotowa mi pozwolić?

- A jak daleko byś się posunął?

- Na pewno nie skończyłbym na pocałunkach. Chodź, mamy dużo do zrobienia. Jesteś pewna, że nic ci nie dolega?

- Absolutnie nic - odparła cicho.

Objął ją i lekko pocałował w brew.

- To dobrze. Przykro mi, jeżeli cię uraziłem. Wyszedłem już z wprawy.

Chyba nie tak bardzo jak ja, pomyślała. Już tak dawno z nikim w ten sposób nie baraszkowała, jeśli w ogóle robiła to kiedykolwiek! David nie był zbyt wylewny w okazywaniu uczuć i chyba nigdy nie bawiła się z nim tak, jak teraz z Rossem. A może po prostu nie pamięta? Nie, na pewno nie.

Problem polegał na tym, że ich igraszki stawały się zbyt niebezpieczne, zbyt kuszące, zbyt... Wielkie nieba, były zbyt intymne! A przecież nie mogła pozwolić, żeby...

Wysunęła się z jego objęć.

- Zabieramy się do roboty - zaordynowała.

Pracowali razem, rozpakowując kolejne pudła, myjąc szkło, porcelanę i ustawiając je na półkach.

O dwunastej byli tak zmęczeni, że postanowili odpocząć.

- Idziemy popływać - powiedział Ross, a Lizzi miała zbyt mało energii, żeby się przeciwstawić.

Przebrała się w kostium i wskoczyła do wody. Przepłynęli kilka razy basen, a potem przez chwilę grali w piłkę. W końcu Ross zdecydował, że czas wychodzić z wody.

- Zdajesz sobie sprawę - powiedziała, kiedy ponownie przebrali się w suche rzeczy - że jeszcze nie widziałam, jak wygląda teraz salon.

Uśmiechnął się.

- No to zobacz. Ale jeśli ci się nie spodoba, nie wyrażaj tego zbyt dosadnie!

Niepotrzebnie się martwił. W jednej chwili zakochała się w tym salonie. Chodziła dookoła, oglądając wiszące na ścianach obrazy, dotykając jaspisowych figurek, stylowych mebli. Jej palce chciały poznać ich kształty, fakturę, poczuć ciepło. Wszystko to należało przecież do mężczyzny, którego zaczynała kochać...

Odwróciła się i gwałtownie skierowała w stronę drzwi.

- To jest wspaniały salon! - krzyknęła radośnie.

- A teraz chodźmy przygotować jedzenie.

Ross posłał jej zdziwione spojrzenie, ale nic nie mówiąc podążył za nią do kuchni. Resztę popołudnia spędził wypełniając jej polecenia.

Przed szóstą wszystko było gotowe. Stół aż ugiął się od przekąsek, serów, owoców i wszelkiego rodzaju chipsów. Lizzi ze zmęczenia padała na twarz.

Ross po prostu chwycił ją za ręce i siłą wyciągnął z kuchni.

- Wystarczy - powiedział stanowczo i zaprowadził do pokoju gościnnego, w którym umieścił jej rzeczy.

- Wykap się teraz i odpocznij. Goście zaczną przychodzić dopiero koło ósmej, więc masz jeszcze trochę czasu.

Pomysł bardzo się jej spodobał. Wyciągnęła się na łóżku i po minucie spała już kamiennym snem. Obudziło ją światło, wpadające przez uchylone drzwi.

- Lizzi, czy coś się stało?

- A co się miało stać? - zapytała zła, że ją budzi.

- Nie wiem. Zachowywałaś się bardzo cicho, więc przyszedłem sprawdzić. Jest piętnaście po siódmej.

- Co? - Natychmiast usiadła na łóżku i z niedowierzaniem spojrzała na zegarek. - Dlaczego pozwoliłeś mi tak długo spać?

W odpowiedzi usłyszała tylko śmiech.

Wbiegła do łazienki i zamiast długiej, gorącej kąpieli, którą sobie obiecywała, wzięła szybki prysznic. Wytarła się do sucha i pospiesznie zrobiła makijaż. Następnie włożyła satynową bieliznę i szafirową suknię. Miękkie fałdy delikatnie opinały biodra, opadając aż do wysokości kolan. Nic nazbyt krzykliwego, pomyślała, sięgając ręką do zamka błyskawicznego.

- Za dziesięć ósma. Jesteś gotowa?

- Prawie. Możesz mi zapiąć suwak? - spytała, dając za wygraną. Wyprostowała się i obiema rękami podniosła włosy, odsłaniając kark.

Drzwi otworzyły się i poczuła na plecach dotyk gorących dłoni. Przesunęły się do góry, a jej zabrakło w piersiach tchu.

- Och, Lizzi, wyglądasz oszałamiająco!

Patrzył na nią z niekłamanym podziwem, uśmiechając się lekko.

- Ty też prezentujesz się nie najgorzej - szepnęła. Perłowoszare, doskonale skrojone spodnie Rossa nieznacznie podkreślały smukłe zarysy nóg. Jedwabna koszula była dobrana z najlepszym smakiem.

Ciemnozielony krawat w złote paski dopełniał całości. Prezentował się wspaniale.

Chrząknęła.

- Masz suszarkę?

- Jest u mnie w łazience. Weź sobie, a ja nastawię grilla i napełnię wiaderko lodem.

Włożyła sandały i weszła do jego pokoju. Znalazła suszarkę i podeszła do lustra.

Włosy lekko już przeschły i, pomimo najszczerzych chęci, nie chciały się ułożyć tak, jak zaplanowała. Jakby na przekór jej wysiłkom, opadały miękko na ramiona, tworząc złociste fale. Trudno. Odłożyła szczotkę i obróciła się, by po raz ostatni spojrzeć na swe dzieło.

- Mój Boże! - szepnęła. - Czy to ja?

Zamknęła oczy i po chwili wolno je otworzyła. Bez zmian. Suknia błyszczała, połyskiwała, falowała, wyglądając niecodziennie i tajemniczo, a przede wszystkim wprost nieprzyzwoicie seksownie.

- Muszę ją zdjąć! - jęknęła.

- Co musisz zdjąć?

- Tę sukienkę! Ross, ona jest obsceniczna!

Obejrzał ją uważnie, a potem wyraził swój pogląd:

- Daleko jej do obsceniczności, Lizzi. Wyglądasz przepięknie. Po prostu ślicznie. Nawet się nie waży jej zmienić!

Stała tyłem do lustra i zamknęła oczy.

- Muszę!

Właśnie w tej chwili rozległ się dzwonek do drzwi. Wziął ją za rękę i zdecydowanie poprowadził na dół.

- Ross, proszę! - szepnęła z przerażeniem, ale zamiast ją puścić, pocałował tak mocno, że świat zawirował jej przed oczami.

A potem otworzył drzwi, zanim zdążyła dojść do siebie.

- To uroczne przyjęcie - powiedziała kilka godzin później, kiedy powoli schodzili po ogrodowych schodach. Z domu dobiegała cicha, nastrojowa muzyka, a przez ogromne okna salonu można było zobaczyć tańczące pary. W środku było trochę duszno, więc wyszli, by zaczerpnąć świeżego powietrza.

Nie tylko oni wpadli na ten pomysł. Wokół było słychać zduszone śmiechy i rozmowy spacerujących w cieniu gości.

Ross objął Lizzi i ukrył usta w jej włosach.

- Zatańcz ze mną - szepnął i przyciągnął ją mocniej do siebie. - Przez cały wieczór nie mogłem oderwać od ciebie wzroku. W tej sukience wyglądasz zabójczo. Wiesz, na co miałbym teraz największą ochotę? Chciałbym rozpiąć suwak, zsunąć suknię z ramion i całować każdy centymetr odsłaniającego się ciała...

- Każdy centymetr? - zapytała cicho.

- Każdy. Całowałbym bardzo dokładnie i tak długo, że w końcu byś się poddała.

Na samą myśl o tym, nogi ugięły się pod Lizzi. Tej nocy nie potrzebowałyby na to dużo czasu! Przytuliła się i cicho roześmiała.

Nie wiedziała, czy to wino, czy słowa Rossa wprawiły ją w ten nastrój. Zresztą, co za różnica! Oparła głowę o jego ramię i uśmiechnęła się filuternie.

- Brzmi zachęcająco. Wiesz, co teraz zrobię?

- Powiedz - przynaglił ją zduszonym głosem.

- Położę ręce na twoich piersiach, o tak, w ten sposób, i popchnę cię!

Ross rozłożył ramiona i z dzikim okrzykiem wpadł prosto do basenu. Ujęła się pod boki i ze śmiechem patrzyła, jak ociekając wodą wychodzi na brzeg. Kiedy do niej podszedł, widok jego miny sprawił, że uśmiech zamarł jej na ustach.

- Ross, nie! Bardzo cię proszę - błagała wycofując się. - Miej wzgląd na suknię. Kosztowała fortunę!

- To ją zdejmij - powiedział pogodnym tonem.

- Nie wygłupiaj się! - potrząsnęła głową.

Złapał ją za ramię i przyciągnął do siebie.

- Odwróć się, odepnę suwak.

- Ross, nie...

- Zrób to, albo wykąpiesz się we wszystkim!

Obróciła się, szukając ratunku, ale nie dostrzegła nic, co mogłoby jej pomóc.

- Dziękuję - powiedział i rozsunał suwak.

Zwrócił ją twarzą do siebie i zsunął suknię tak, że została tylko w satynowej bieliźnie.

Uśmiechnął się, bardzo z siebie zadowolony.

- Zaraz poczujesz się lepiej.

Z tymi słowami porwał ją na ręce i podrzucił do góry. Kiedy spadała, dostrzegła kątem oka wiwatujący tłum, który zebrał się wokół basenu.

Potem była już tylko woda.

ROZDZIAŁ ÓSMY

To była okazja, której karykaturzysta nie mógł przepuścić. Następnego dnia ukazał się rysunek przedstawiający Lizzi zanurzoną po szyję w wodzie, podczas gdy wszyscy inni wskakiwali do basenu jak foki. Podpis pod rysunkiem głosił: „Czy do tej pory oglądaliśmy tylko czubek Łodowej Góry? Ile jeszcze tajemnic kryje w sobie Jej Śniegowa Wysokość?”

Potem następowała lista wydarzeń, które doprowadziły ponoć do tego incydentu. Lizzi nie bardzo w nie wierzyła, choć, mówiąc szczerze, po przebudzeniu niewiele pamiętała ze swojego wczorajszego zachowania.

Szybko wyszła ze świetlicy i ukryła się w dyżurce, opuszczając ją tylko w chwilach, kiedy jej obecność na oddziale była niezbędna. Za każdym razem witały ją rozbawione uśmiechy i szepty, które starała się ignorować.

Gdzieś w połowie popołudnia, które zdawało się ciągnąć w nieskończoność, do dyżurki zajrzał Ross. Wyglądał na bardzo z siebie zadowolonego.

- Jak się czujesz? - spytał, przybierając współczującą minę.

- Okropnie. Głowa mi pęka - jęknęła i opadła na krzesło. - Ross, jak mogłeś pozwolić, żebym zrobiła z siebie taką idiotkę?

Tym razem nawet nie próbował ukryć uśmiechu.

- Dobrze ci to zrobiło. Miałem wrażenie, że bawisz się doskonale. W końcu to był twój pomysł. Dlaczego miałem ci przeszkadzać?

Rzuciła w niego ołówkiem i oparła głowę na rękach.

- Złośliwiec! Widziałeś już rysunek? Nie miałam nawet siły, żeby go zerwać. Gdzie byłeś, kiedy cię potrzebowałam?

Uśmiechnął się przebiegle, wyciągnął z kieszeni kartkę z rysunkiem i zamachał nią przed oczami Lizzi.

- Myślę, że to dzieło zachowam dla siebie. Podejrzewam, że chciałybyś go zniszczyć!

Podszedł do niej i usiadł na brzegu stołu. Oparła głowę na jego kolanach i ciężko westchnęła.

- Nigdy więcej - jęknęła.

- Nie masz najmocniejszej głowy, prawda?

- Nie. Wypiłam dwa kieliszki wina. Dwa kieliszki! A potem jeszcze lampkę ponczu.

- Ach! Tego ponczu! Chyba ktoś lekko go doprawił. Spróbowałem łyk i ostrzegłem kierowców, żeby go nie pili. Zapomniałem ci o tym powiedzieć. Wybacz, najśłodsza!

- Nie mów do mnie najśłodsza! Mam ochotę umrzeć!

Pogłaskał ją delikatnie po policzku.

- Będiesz żyła, kochanie. Pójdiesz ze mną obejrzeć chorych?

Westchnęła i wyprostowała się.

- A muszę?

- Tak.

- No dobrze, ale przestań się ze mnie śmiać, bo zrobię coś okropnego!

Kiedy szli korytarzem, ich znajomi spoglądali na siebie porozumiewawczo i coś między sobą szeptali.

Po obchodzie Ross odprowadził ją do dyżurki.

- Nie było aż tak źle, prawda?

- Jesteś ślepy? Było okropnie! Nigdy więcej nie będę mogła spojrzeć tym ludziom prosto w oczy!

- Chyba przesadzasz. Muszę teraz iść. Zobaczymy się jutro.

Szybko ją pocałował i wyszedł.

Dopiero znacznie później uzmysłowiła sobie, że w pewnym momencie ich rozmowy powiedział do niej kochanie.

Poniedziałek minął znacznie spokojniej. Wszyscy zapomnieli o przyjęciu, albo przynajmniej tak się Lizzi wydawało. Stwierdziła, że nie będzie chować się po kątach na swoim własnym oddziale, więc przybrała srogą minę i ostro ruszyła do pracy, jak gdyby nic się nie wydarzyło.

Jej udawanie na nic się nie zdało. Amy Winship powitała ją ciepłym uśmiechem, Lucy Hallett spytała o radę w osobistej sprawie, a Jesus Marumba i Oliver Henderson dokuczali jej przez cały dzień.

Tylko Mitch nie poruszał tematu przyjęcia, ale jego domyślny uśmiech wyprowadzał Lizzi z równowagi. Bardziej niż kiedykolwiek była pewna, że to właśnie jego talent karykaturzysty przyczynił się do jej upadku, ale nie potrafiła tego udowodnić.

Ross wpadł na oddział na krótką chwilę, ale ponieważ Ann i Andrew mieli przywieźć dziś chłopców, wiedziała, że nie będzie mogła spotkać się z nim wieczorem. Kiedy o czwartej po południu skończyła pracę, pojechała prosto do domu i ugotowała ogromną porcję makaronu. Nie wiedziała, o której wróci matka, dlatego kolację zjadła sama.

Właśnie kiedy skończyła, otworzyły się drzwi i weszła Mary z wysokim, dystyngowanym, starszym panem, który pomógł jej wejść i zaraz zniknął za drzwiami.

- Poznasz Edwarda później, kochanie - powiedziała na przywitanie matka. - Idziemy dziś na kolację.

Lizzi zatrzymała się w pół kroku.

- Na kolację?

- Tak. Wstąpimy tradycyjnie do tego pubu nad rzeką...

- Tradycyjnie?

- No tak. Byliśmy tam już kilka razy...

- To coś nowego! Nie miałam pojęcia, że chodzisz z nim na kolacje!

Matka uśmiechnęła się z zadowoleniem i przybrała niewinny wyraz twarzy.

- Prosił mnie o to kilka razy, ale dopiero teraz zrozumiałam, że nie ma sensu ciągle odmawiać. I wiesz, było wspaniale! Spędziliśmy cudowny, romantyczny weekend!

Lizzi nie mogła uwierzyć własnym uszom.

- Romantyczny? - wyjąkała.

- Mhm. Bardzo. To cudowny mężczyzna, Lizzi. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego uświadomienie sobie tego zajęło mi tyle czasu.

Lizzi ciężko usiadła.

- Mamo, to brzmi bardzo poważnie.

- Bo to jest poważne. Skarbie, ja go kocham i on mnie też. Jeszcze mi się nie oświadczył, ale mam wrażenie, że to tylko kwestia czasu. Jeśli to zrobi, na pewno nie odmówię.

- A co z tatą? - wykrzyknęła Lizzi.

- Kochanie, tata nie żyje...

- Jak możesz o nim zapominać?

Mary spoważniała.

- Oczywiście, że o nim nie zapomniałam. Kochałam go i bardzo wiele mu zawdzięczam. Ciągle za nim tęsknię i przypuszczam, że nigdy nie przestanę. To, że darzę uczuciem Edwarda, nie oznacza, że przestałam kochać twojego ojca. Ale on odszedł, a ja nie chcę żyć w pustce przez resztę swoich dni.

-W takim razie przykro mi, że tak uważasz - powiedziała cicho. - Robiłam wszystko, żeby cię uszczęśliwić i zapewnić ci wygodne życie...

- Ależ, kochanie, oczywiście, że tak! Byłaś dla mnie wspaniała i nigdy ci tego nie zapomnę. Ale

Edward daje mi coś, co utraciłam wraz ze śmiercią ojca, a czego ty nie jesteś w stanie mi zapewnić!

- Nie mogę w to uwierzyć! To stało się tak szybko...

- Minęło już siedem lat...

- No to co? Jak mogłaś wyrzucić go ze swego serca? Ja nie potrafię przestać myśleć o Davidzie, a przecież wy znaleście się z tatą znacznie dłużej!

- Nie potrafisz, czy nie chcesz? - usłyszała ciche pytanie.

Serce Lizzi przeszły ból.

- Sama nie wiem. Mówiono mi, że to tylko kwestia czasu, ale ile można czekać? Jak długo to ma trwać? - załkała.

Mary ujęła dłoń córki i uścisnęła ją pełnym zrozumienia gestem.

- Wiesz, że czas to nie wszystko. Czas goi rany, to prawda, ale dopiero miłość może wypełnić pustkę, jaka powstała w twoim sercu. Wierz mi. Odczuwałam to samo, dopóki nie spotkałam Edwarda. Ale teraz, och, Lizzi, jestem z nim taka szczęśliwa! Nagle moje życie znów nabrało sensu i nawet nie potrafię ci opisać, jakie to wspaniałe uczucie.

Lizzi westchnęła i desperacko uścisnęła matkę.

- Cieszę się, że jesteś szczęśliwa. Nie chciałam cię krytykować. Mam nadzieję, że będzie wam ze sobą dobrze.

- Dziękuję, skarbie.

Oczy Mary błyszczały od powstrzymywanych łez i Lizzi pomyślała, że jej pewnie wyglądają podobnie. Chrząknęła i poprosiła matkę, żeby opowiedziała jej więcej o Edwardzie.

- Jest cudowny. Ma doskonałe poczucie humoru i bzika na punkcie punktualności. To mi przypomniało... - spojrzała na zegarek. - To już tak późno? Za minutę tu będzie, a ja nawet się nie przebrałam!

- Pomóc ci?

- Bardzo proszę! Z przyjemnością wzięłabym kąpiel.

Lizzi poszła do łazienki i stanęła przed lustrem. Jej matka zakochana w jakimś obcym mężczyźnie! Nie w ojcu! Spryskała twarz zimną wodą, wytarła nos i napuściła wody do wanny.

O siódmej trzydzieści mama była gotowa. Właśnie skończyła się malować, kiedy rozległ się dzwonek.

Lizzi otworzyła drzwi i ujrzała nieśmiało uśmiechniętego Edwarda. Wielkie nieba, on jest zdenerwowany! Odwzajemniła uśmiech i wpuściła gościa do przedpokoju.

- Proszę. Mama już czeka.

- Dziękuję.

Podążył za nią do salonu, a kiedy odwróciła się, żeby coś powiedzieć, słowa uwięzły jej w gardle.

Patrzył na matkę tak rozkochanym wzrokiem, jakiego dawno nie widziała u żadnego mężczyzny. Uśmiech, jakim ją obdarzył, był uśmiechem kochanka. Nie, pomyślała, przecież nie mogą być...

Jednak wyraz twarzy matki mówił sam za siebie. Lizzi miała dziwne uczucie, że jej obecność nie jest tym dwojgu do niczego potrzebna.

- Nie czekaj na mnie, kochanie. Mogę wrócić późno. Sama dam sobie radę.

- Jesteś pewna?

Matka i Edward wymienili zdziwione spojrzenia i Mary poklepała ją po rękę.

- Absolutnie. Do zobaczenia rano.

Kiedy ich gość wziął od niej wózek i sprawnie wyjechał nim z pokoju, poczuła się dziwnie opuszczona.

Zamknęła za nimi drzwi, oparła się o ścianę i wybuchnęła płaczem. Nie była już potrzebna swojej matce. Nigdy nie przypuszczała, że ten fakt może jej sprawić tyle bólu.

Kiedy łyzy wreszcie wyschły, poszła do kuchni i usiadła przy stole. Jak bardzo chciałyby porozmawiać teraz z Rossem! Czuła nieodpartą potrzebę podzielenia się z nim tą nowiną i wysłuchania jego opinii.

Zerwała się ze stołka, schwyciła płaszcz, torebkę i wybiegła z domu. Drżącymi rękami włożyła kluczyk do stacyjki i zapaliła silnik.

Wydawało jej się, że jazda trwa wieki, ale w końcu zaparkowała obok błękitnoszarego range rovera. Przez chwilę przyglądała mu się ze zdumieniem i dopiero po chwili przypomniała sobie, że Ann i Andrew mieli przywieźć dziś chłopców. Była ostatnią osobą, której towarzystwa Ross mógłby sobie w tej chwili życzyć.

Łzy napłynęły jej do oczu. Próbowała z nimi walczyć, ale jej wysiłki były daremne. Rozpłakała się jak małe dziecko.

Wiedziała, że powinna stąd odjechać, ale nie mogła wrzucić wstecznego biegu. Spróbowała ponownie, a kiedy się nie udało, zaklęła i uderzyła ręką w kierownicę. Czy wszystko sprzysięgło się dziś przeciw niej?

W tym momencie otworzyły się drzwi i ujrzała w nich głowę Rossa.

-Lizzi?

Spojrzała na niego poprzez łyzy i puściła dźwignię biegów.

- Kochanie, co się stało? - Otworzył drzwiczki samochodu i usiadł obok niej.

Bez słowa przytuliła się do niego i nie bacząc już na nic, płakała mu w koszulę.

- Lizzi, powiedz mi wreszcie! Czy coś stało się twojej mamie? Kochanie, odezwij się!

- Ross, ona ma narzeczonego! Nie mogę w to uwierzyć! Musiałam z tobą porozmawiać...

- Cii... Już dobrze. Chodź do domu, zrobię ci coś do picia.

- Przecież nie mogę tam wejść! Tam jest twoja żona, dzieci i ...

- Moja eks-żona, jej mąż i chłopcy. Wszyscy z przyjemnością cię poznają. Zresztą i tak nigdzie nie pojedziesz w takim stanie. Bądź grzeczną dziewczynką i pozwól mi się tobą zająć.

- Ross, nie mogę. Jestem zupełnie roztrzęsiona i wyglądam fatalnie...

- Uważam, że wyglądasz wspaniale. Chodź - ujął ją za rękę i zaprowadził do domu. - Idź, obmyj się, a ja zaczekam na ciebie w kuchni.

Poszła do sypialni i spojrzała na swoje odbicie w lustrze.

Wyglądała okropnie! Umyła twarz zimną wodą, wytarła do sucha i drżącą ręką poprawiła makijaż. Naprawdę nie miała teraz ochoty widzieć się z Ann, ale nie było już odwrotu.

Z ciężkim westchnieniem zeszła na dół. Ross na szczęście był sam.

- Już miałem iść po ciebie. Czego się napijesz?

- Niczego! Jeszcze dobrze nie wytrzeźwiałam po twoim przyjęciu!

Roześmiał się i wręczył jej szklanekę jabłkowego soku.

- Spróbuj tego. Na pewno dobrze ci zrobi. - Pochylił się i lekko ją pocałował. - Wyglądasz już zupełnie normalnie. Chodź, przedstawię cię. Niedługo pojedą, więc będziemy mogli porozmawiać.

Zamknęła oczy, wzięła głęboki wdech i poszła za nim do salonu.

Ross odwrócił się i puścił oko.

- Lizzi, chciałbym cię przedstawić Ann i Andrew. Chłopcy, podejdźcie tutaj i bądźcie grzeczni.

Nieśmiało wyciągnęła rękę w stronę drobnej kobiety, która uśmiechała się do niej ciepło, a potem przywitała się z wysokim, lekko przygarbionym męż-

czyzną. Callum był prawie tak wysoki jak ona. Miał gęste, ciemne włosy i bardzo przypominał ojca. Alastair był drobniejszy, miał błękitne oczy, ale także był podobny do Rossa.

Uśmiechnęła się do chłopców, ale tylko Alastair odwzajemnił jej uśmiech. Callum przez chwilę patrzył na nią uważnie, a potem odwrócił się i usiadł na kanapie.

- Nie przejmuj się nim - powiedział z westchnieniem Ross i zaprosił ją gestem na fotel.

Miała ochotę stamtąd uciec, ale stłumiła lęk i usiadła, podkurczając pod siebie nogi.

- Nie wolno kłaść nóg na fotelu - odezwał się Callum.

- Callum, tobie nie wolno kłaść nóg na fotelu, bo zwykle robisz to w zabłoconych butach - upomniał go Ross. - Lizzi może robić to, na co ma ochotę i nic ci do tego! A teraz ją przeproś!

- Daj spokój, Ross - poprosiła. - Po prostu zwrócił mi uwagę...

- Nie wolno mu tego robić - odparł. - Przeproś, Callum, albo wyjdiesz z pokoju.

Chłopiec wstał i ostentacyjnie podszedł do schodów. Każdym ruchem manifestował swój sprzeciw.

- Zastanawiam się, co ona tu robi. Zwykle nie wpuszczasz ich za próg domu!

W jednej chwili Ross był przy nim. Schwycił go za ramię i obrócił w stronę Lizzi.

- Przeproś! - rozkazał cicho.

Chłopiec ciężko przełknął ślinę, najwyraźniej zdając sobie sprawę, że posunął się za daleko. Wymamrotał jakieś przeprosiny i Ross odprowadził go na górę.

Kiedy ich kroki ucichły, Ann z zakłopotaniem potrząsnęła głową.

- Lizzi, tak mi przykro. Zwykle się tak nie zachowuje.

Lizzi zmusiła się do uśmiechu.

- W porządku. Chyba go rozumiem. Dziś poznałam nowego przyjaciela mojej mamy i miałam szczerą ochotę zareagować dokładnie tak samo!

Alastair spojrział na nią z zaciekawieniem.

- Czy on też położył nogi na fotelu?

Roześmieli się i atmosfera znacznie się poprawiła.

- Nie, zabrał ją tylko na kolację, ale wcale mi się to nie podobało.

Andrew zachichotał, a Ann westchnęła z ulgą.

- Naprawdę bardzo mi przykro z powodu Calluma. W rzeczywistości to miły chłopiec i rzadko mu się zdarzają takie wybryki.

- To musi być dla niego bardzo trudne.

- Nie sądzę - odezwał się Andrew. - Z powodzeniem znosi mnie, jako męża swojej matki, dlaczego więc z ojcem miałoby być inaczej?

- Może dlatego, że zawsze miał go tylko dla siebie? Nigdy nie musiał dzielić się nim z kobietą, a teraz pewnie uważa, że tak będzie. Czuje się zagrożony i naprawdę doskonale go rozumiem!

Alastair uśmiechnął się.

- Ja myślę, że on po prostu był zaskoczony. Jesteś fajniejsza niż ta bezmyślna lalka, którą ojciec przywiózł do Londynu ostatnim razem...

- Alastair! Teraz ty zaczynasz?

- Nie, tato. Ja tylko... Nie złość się!

Ross z desperacją pokręcił głową.

- Lizzi, przepraszam cię. Zupełnie nie wiem, co ich napadło.

Przykucnął przed nią i ujął jej dłonie.

- Gniewasz się?

- Ależ skąd! Co zrobiłeś Callumowi? Zbiłeś go?

- Nie. Byłem bardzo ostrożny. Siniaki pojawią się dopiero za sześć miesięcy.

Roześmiała się i pocałowała go w policzek.

- Andrew, Alastair, chodźcie, przyniesiemy bagaże - zakomenderował.

- Tak, niedługo będziemy się zbierać. Mamy za sobą ciężki dzień.

Wyszli przed dom i Lizzi została tylko z Ann.

Przez chwilę obie kobiety przyglądały się sobie z uwagą, aż w końcu odezwała się Ann.

- Al miał rację. Jesteś dużo fajniejsza niż ta bezmyślna lalka, którą przywiózł do Londynu - popatrzyła w zamyśleniu na kominek, a potem ponownie zwróciła wzrok na Lizzi. - Martwiłam się o niego. Zbyt długo był sam, ale wiem, że teraz to się skończy. Dużo o tobie mówię i wiem, że naprawdę bardzo cię lubi.

- To wspaniały mężczyzna - powiedziała cicho Lizzi.

- Cieszę się, że tak uważasz. Ja też zawsze tak myślałam.

- Ale odeszłaś od niego!

- Bo nie kochałam go tak, jak na to zasługiwał! Gdybym tego nie zrobiła, oszukiwałabym jego i siebie samą. W końcu zaczęlibyśmy się nienawidzić, a to byłaby dla chłopców tragedia. A tak, przyjaźnimy się i bardzo sobie tę przyjaźń cenimy. Był dobrym mężem i nigdy nie zrobił mi żadnej krzywdy. Miał pewne wady, ale zawsze pozostawał lojalny i uczciwy. Poważnie traktuje ojcostwo i kocha chłopców. Żałuję tylko tego, że nie był przy nich, jak dorastali. Ciągłe jest bardzo atrakcyjnym mężczyzną i może jeszcze założyć drugą rodzinę...

Lizzi przez moment patrzyła na swą rozmówczynię, a potem spuściła wzrok. Dzieci Rossa. Jej dzieci. Ich dzieci... Poczuli nagle nieodpartą chęć, by znaleźć się w jego ramionach. Och, Ross, pomyślała z bólem. Dlaczego musiałam spotkać akurat ciebie? Dlaczego musiałam się zakochać? Czeka mnie jeszcze tyle cierpień...

- Jesteś gotowa, Ann?

Lizzi wzdrygnęła się i wróciła do rzeczywistości. Stała przed nią Ann z wyciągniętą przyjaźnie ręką.

- Dbaj o niego. To twój szczęśliwy los na loterii.

Uśmiechnęła się, wymamrotała coś niezrozumiałego i ujęła dłoń Ann. Potem podała rękę Andrew i wyszła, żeby mogli swobodnie pożegnać się z chłopcami.

Ross odprowadził ich, a kiedy wrócił, zastał ją oglądającą mały posążek Buddy.

- Pochodzi z siedemnastego wieku. Zobacz, co ma napisane pod spodem.

Odwróciła się i ukryła twarz w jego ramionach.

- Opowiedz mi o wszystkim - szepnął.

- W zasadzie nic się nie stało. Mama poszła na kolację z czarującym mężczyzną, a ja zachowałam się zupełnie jak twój trzynastoletni syn. Wierz mi, naprawdę rozumiem, co on teraz czuje.

-A ja nie. Zachował się karygodnie. Tak mi przykro z powodu tego zajścia...

- Daj spokój, Ross. Nie mam do niego żalu.

Usiadł na kanapie i posadził ją obok siebie.

- Opowiedz mi o Mary i jej narzeczonym. Myślisz, że to poważna sprawa?

- Wygląda na to, że tak. Powiedziała, że chyba jej się oświadczy i że na pewno mu nie odmówi. Zupełnie nie mogę w to uwierzyć...

- A ja tak. Mary jest bardzo atrakcyjną kobietą.

-Wiem o tym - przyznała. - Tylko że... to wszystko zdarzyło się zbyt szybko. Nie jestem jeszcze gotowa...

- Nie jesteś? - przerwał jej, patrząc prosto w oczy. Miała dziwne wrażenie, że odpowiedź na to pytanie znaczy dla niego znacznie więcej, niż można by sądzić z wyrazu jego twarzy.

- Nie jestem. Sądziłam, że ona też nie, ale się myliłam. Powiedziała, że oprócz czasu potrzeba nam

także miłości. Że czas goi rany, ale tylko miłość może wypełnić pustkę...

- Miała rację. Powinnaś sama się o tym przekonać - powiedział nie spuszczać z niej wzroku.

Jego spojrzenie hipnotyzowało ją. Czuła, że za chwilę nie będzie już w stanie postępować według własnej woli. Z wysiłkiem oderwała się od niego i wstała.

- Muszę iść. Jutro mam ranną zmianę i chcę się położyć. Ty też musisz zająć się chłopcami, rozpakować bagaże i...

-Lizzi?

Nie czekała na to, co powie, tylko skierowała się w stronę drzwi.

- Zaczekaj!

Pobiegł za nią i złapał w momencie, kiedy otwierała samochód. Odwrócił ją i zaczął całować tak długo, aż zupełnie zabrakło jej tchu.

- Nie możesz ode mnie uciec, Lizzi. Zaczekam tak długo, aż będziesz gotowa i do mnie przyjdiesz.

Wyrwała się z jego objęć, wsiadła do samochodu, zapaliła silnik i gniewnie szarpnęła dźwignię biegów.

Otworzył drzwi i uśmiechnął się.

- Czy musisz aż tak nienawidzić tej skrzyni biegów, co?

Pocałował ją lekko w policzek, zamknął drzwi i pozwolił odjechać.

Przez całą powrotną drogę dźwięczały jej w uszach słowa Rossa. „Nie możesz ode mnie uciec, Lizzi. Zaczekam tak długo, aż będziesz gotowa i do mnie przyjdiesz. Nie możesz uciec, nie możesz uciec...”

- Założysz się? - spytała na głos.

Nie pozwoli mu, żeby udowodnił swą rację. Nie pozwoli!

A może jednak?

Nie! - podpowiadał jej rozum.

Tak! - krzyczało serce.

Ze zgrzytem wrzuciła czwórkę.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Następnego dnia pierwszą osobą, którą zobaczyła w szpitalu był oczywiście Ross. Czekał na nią w drzwiach dyżurki i kiedy przechodziła obok niego, wychylił się tak, że nie mogła go minąć.

Opanowała drżenie, jakie ogarnęło ją pod wpływem jego wzroku i bez słowa weszła do środka. Wystarczyło jej jedno spojrzenie, żeby ocenić, iż Ross jest dzisiaj w nastroju do żartów. Dobrze wiedziała, że rozbawiony Ross, to Ross niebezpieczny.

Przez całe lata nie miała nikogo, z kim mogłaby żartować, śmiać się. Dlatego tak bardzo pociągał ją, kiedy był wesoły.

Nie patrząc na niego, usiadła przy biurku i zajęła się czytaniem raportu.

Cały czas czuła na sobie jego spojrzenie. Wydała polecenia uczennicom, przedstawiła plan zabiegów i wyszła z pokoju.

Ross szedł za nią krok w krok tak, że kiedy się obróciła, wpadł prosto na nią. Złapał ją za rękę i przeprosił tym swoim głębokim, wibrującym głosem, który sprawiał, że serce zaczynało jej mocniej bić.

- Wcale ci nie jest przykro - powiedziała, starając się, żeby zabrzmiało to groźnie.

W jego oczach dostrzegła iskierki rozbawienia.

- Czy nie powinienesz teraz robić czegoś pożytecznego?

Uśmiechnął się niedostrzegalnie, a jej znów załomotało w piersiach.

- Chciałbym porozmawiać z moimi pacjentami - powiedział z niewinną miną. - Może mogłabyś pomóc mi ich znaleźć?

- Nie potrzebujesz mnie... - Zaciśnęła usta.

- Ależ jak najbardziej! Tu wprawdzie jest trochę mało intymnie, ale gdybyś dała mi tylko chwilę, zaraz znalazłbym odpowiednie miejsce...

- Doktorze Hamilton! - Odsunęła się, świadoma zainteresowania, jakie budzili wśród przechodzących obok pielęgniarek. - Chodźmy więc - powiedziała z rezygnacją. - Skoro chcesz ich obejrzeć, zróbmy to od razu!

- Siostrzo Lovejoy, czy powiedział ktoś pani kiedyś, że ma pani okropne usposobienie?

- Niech cię diabli!

- Złego lichu nie bierze. Najwyżej Callumowi może przydarzyć się jakieś nieszczęście.

Zatrzymała się i spojrzała na Rossa.

- Mam nadzieję, że nie gniewasz się już na syna? Widziałam jego oczy. Były pełne obawy, prawie strachu. Chyba nie byłeś dla niego zbyt surowy?

- W zasadzie nie - westchnął. - Skrzyczałem go za to, że był niegrzeczny, ale potem ucieliśmy sobie pogawędkę i dużo zrozumiałem. On chyba rzeczywiście boi się, że w moim życiu nie będzie dla niego miejsca, jeśli się ożenię. Wytłumaczyłem mu, że to nie wchodzi w grę.

Jego słowa poraziły ją jak grom z jasnego nieba. Dlaczego poczuła się rozczarowana, skoro i tak nie chciała wyjść za niego za męża?

Nie ma to, jak dowiedzieć się, że nie możesz mieć czegoś, czego nie zdążyłeś nawet zapragnąć, pomyślała z ironią.

- Cieszę się, że mu to wyjaśniłeś - ku własnemu zdumieniu, powiedziała to prawie normalnym głosem.

Poszli na oddział i Ross zamienił po kilka słów z każdym ze swych pacjentów. Potem udał się na blok operacyjny, a ona zaczęła przygotowywać wypis dla pana Widlake'a.

Infekcja, która wystąpiła podczas gojenia się rany, została wyleczona i pacjent szybko wracał do zdrowia. Lizzi pomyślała, że będzie jej smutno, kiedy pan Widlake pójdzie do domu. Był bardzo miłym człowiekiem, zawsze uśmiechniętym i zadowolonym z życia. Chciałaby, żeby wszyscy chorzy byli tacy jak on.

Pani Turner, która przez ignorancję doktora Bakera przysporzyła im tyle kłopotów, także była gotowa do wyjścia. Amy Winship fachowo opiekowała się nią przez cały czas i czuła się już coraz pewniej w tej roli. Lizzi była z niej bardzo zadowolona. Sądziła, że będzie z Amy doskonałą pielęgniarką.

Całe przedpołudnie wypełnione było pracą. Jedni chorzy przygotowywani byli do operacji, innych zaś przywożono na salę pooperacyjną, gdzie wymagali ciągłej obserwacji. Lizzi nie miała ani jednej wolnej chwili, żeby napić się kawy.

Dopiero w przerwie na lunch spotkała się z Rossem. Rozmawiali o chłopcach, o ich nauce. Ross powiedział, że jego synowie zawsze będą dla niego najważniejsi, niezależnie od okoliczności.

Czym ja się martwiłam? - pytała samą siebie. Najwyraźniej Ross nie ma zamiaru niczego zmieniać w swojej sytuacji rodzinnej, a ona się zastanawiała, co powiedzieć, kiedy zaproponuje jej małżeństwo. Idiotka! Chodzi mu tylko o nieformalny związek, o nic więcej. Małżeństwo? Wykluczone.

Była przygnębiona.

Weszli oboje do pokoju rekreacyjnego i usiedli obok Olivera i Bron.

- Widzieliście tablicę?

- Co znowu? - spytała.

- Och, nic takiego. Po prostu kolejny dowcip. Co się dzieje, kiedy Yeti się opala?

Oboje zgodnie jęknęli.

- Robi się z niego pieczeń na zimno, czyli tak zwana pieczona Alaska!

Lizzi nie mogła powstrzymać śmiechu. Ileż w tym prawdy! Na zewnątrz ciepła i miła, a w środku zawsze zimna. Może Ross też był taki? A czy w ogóle udało jej się dotrzeć do jego wnętrza? Zresztą, po co się nad tym zastanawia? Przecież i tak go nie chce!

Unikała go przez resztę popołudnia, starając się zająć myśli czymś innym.

Na drugi dzień zachowywała się podobnie, a w czwartek Ross nie przyszedł do pracy. Podobno wziął wolny dzień i wyjechał gdzieś z chłopcami. Lizzi, wbrew samej sobie, tęskniła za nim jak nigdy dotąd.

W piątek stanęła przed dylematem: spędzić sobotę z Rossem i dziećmi, czy pojechać z mamą po zakupy.

- Skoro nie możesz spędzić z nami całego dnia, to może chociaż przyjedziesz na obiad? - nalegał.

- Dobrze - poddała się.

Sobotni poranek był słoneczny i ciepły. Cieszyła się, że jest ładna pogoda. Ross miał zabrać chłopców do Cambridge, żeby popływać na pontonie, i deszcz popsuły ich plany.

Postanowiła być tego dnia wyjątkowo miła dla mamy. Szła na jakąś wystawę malarstwa i potrzebowała czegoś nowego do ubrania. Kiedy przyszedł po nią Edward, Lizzi nie potrafiła ukryć zmieszania. Ciągle nie mogła przywyknąć do widoku mamy, wychodzącej gdzieś z obcym mężczyzną.

Wieczorem ubrała się w białą bluzkę i bawełniane spodnie, a na ramiona narzuciła sweter. Po chwili namysłu zabrała też kostium kąpielowy i duży ręcznik. Punktualnie o siódmej zadzwoniła do drzwi Rossa.

Ponieważ nikt nie otworzył, nacisnęła klamkę i weszła do środka. Jak tylko znalazła się w holu, zrozumiała, dlaczego nikt nie słyszał jej dzwonka.

Wszyscy trzej grali w basenie w piłkę. Przez chwilę stała nieruchomo, z zachwytem patrząc, jak Ross porusza się w wodzie, a potem pobiegła do sypialni i przebrała się w kostium.

Po cichu zeszła na dół i wskoczyła do wody, łapiąc piłkę.

- Patrzcie, kto tu jest! - krzyknął Ross i podpłynął do niej. Próbował zabrać jej piłkę, którą trzymała wysoko nad głową.

- Cześć - przywitał się i lekko ją pocałował.

- Cześć - odpowiedziała, rzucając piłkę ponad jego głową.

- Wiedziałem, że nie można ci ufać - powiedział cicho i objął ją w talii. - A oszustów należy karać - mówiąc to wciągnął ją pod wodę i sam zanurzył się razem z nią. Minęło kilka sekund, zanim ukazali się na powierzchni, z trudem łapiąc powietrze.

- Flirciarz - zażartowała i uciekła, próbując zignorować rozkoszne drżenie, które odczuwała w całym ciele.

- Witajcie, chłopcy.

- Cześć.

Callum odrzucił jej piłkę.

- Chcesz się do nas przyłączyć?

Przytaknęła z uśmiechem.

Wszyscy troje grali przeciw Rossowi, który, choć narzekał, że zostawili go samego, i tak zdołał ich pokonać.

Kiedy mieli już dosyć, wyszli z wody i poszli do domu.

- Chłopcy, zanim wejdziecie, wytrzyjcie nogi - upomniał ich Ross.

- A dziewczynki?

- Dziewczynkom, to ktoś wytrze nogi - odparł, a w jego oczach dostrzegła obietnicę. - Mamy z sobą do pomówienia, droga pani.

Ukląkł przed nią i zaczął wycierać jej stopy. Kiedy pocałował ją w podbicie, wstrzymała oddech. Czego od niej będzie chciał? O co mu chodziło?

Chłopcy dawno już poszli. Schyliła się, żeby podnieść zostawione przez nich ręczniki i weszła do domu.

- Co mam z nimi zrobić?

- Rozwiś, żeby wyschły. Napijesz się teraz czegoś, czy masz zamiar chodzić w tym mokrym kostiumie cały wieczór i kusić mnie, aż się na ciebie rzucę?

Owinęła się ręcznikiem i pobiegła do sypialni. Szybko przebrała się w suche rzeczy, rozczesała włosy i zeszła do kuchni.

- Mogę w czymś pomóc?

- Najlepiej będzie, jak usiądziesz na stołku, wypijesz drinka i opowiesz mi o sobie. Często tu przychodzisz?

Roześmiała się i wzięła od niego szklanekę ginu z tomkiem.

- Pamiętaj, że prowadzę samochód - upomniała go-

- Wielka szkoda. Oczywiście nie zechcesz zostać na noc?

- A co byś powiedział, gdybym się zgodziła? - zapytała ze śmiechem.

- Stwierdziłbym, że żartujesz - odparł poważniejąc. - A co, masz zamiar się zgodzić?

- Nie.

- Tak właśnie myślałem - powiedział z westchnieniem. - W takim razie idę się ubrać.

Reszta wieczoru minęła w pogodnym nastroju. Koło dziewiątej mieli trochę kłopotu z przekonaniem Alastaira, żeby poszedł spać, ale w końcu udało

im się zapakować go do łóżka. Callum poszedł na górę niedługo po nim.

Kiedy zostali sami, Lizzi podkurczyła nogi i westchnęła z zadowolenia.

- Wygodnie ci?

- Mhm. Chyba trochę za dużo zjadłam. Ale ty prawie nic nie jadłeś. Nie smakowało ci?

- Nie, po prostu nie byłem głodny. Pewnie nałykałem się za dużo wody, kiedy bawiłem się z chłopcami.

W tym momencie u szczytu schodów ujrzeli Calluma.

- Tato, Al jest chory.

Ross zamknął oczy i jęknął.

- Tylko tego mi brakowało.

- Mnie też jest niedobrze - dodał Callum.

Ross otworzył oczy i spojrzał na bladą twarz syna.

- Idź, połóż się, Cal. Ja zajrzę do Ala.

Wstał z krzesła i zachwiał się.

- Wszystko w porządku? - spytała zatroskanym głosem Lizzi.

Potrząsnął głową i ujął jej wyciągniętą dłoń.

- Chyba nie całkiem. Mam nudności i kręci mi się w głowie.

- Do łóżka - zakomenderowała i zaprowadziła go do sypialni. Pomogła mu zdjąć spodnie, koszulę i okryła kocem.

W łazience zastała Alastaira pochylonego nad muszlą. Została z nim przez chwilę, a potem umyła mu twarz, ręce i pomogła się położyć. Zaraz też musiała powtórzyć tę samą procedurę, tym razem z Callumem.

Usłyszała, że Ross podnosi się z łóżka i otwiera drzwi do łazienki. Zapowiadała się długa, upojna noc.

Chłopcy zasnęli dopiero po północy. Przedtem dała im do wypicia rozpuszczone tabletki z soli mineralnych, które znalazła w kuchni. Poczuli się po nich lepiej i przestali wymiotować. Zmieniła im pościel i od razu zasnęli jak zabici.

Z Rossem sprawa była trudniejsza. Nie chciał, żeby się nim opiekowała i żeby na niego patrzyła. Mogła to zrozumieć, ale poprosiła, żeby nie zamykał drzwi do łazienki na klucz. Kiedy jednak przez dłuższy czas nie wracał do sypialni, złamała swą obietnicę i weszła do środka. Ross leżał nieruchomo na podłodze. Wyglądał okropnie.

W pewnej chwili gwałtownie zgiął się w pół i złapał za brzuch. Był mokry od potu.

- Chcę umrzeć - jęknął.

Pomogła mu wstać.

- Chcesz zostać tutaj, czy zaprowadzić cię do łóżka? - zapytała.

- Tutaj. Odejdź! - rozkazał jej.

Wyszła z łazienki i, korzystając z wolnej chwili, zmieniła mu pościel, a potem rozpuściła w wodzie tabletki.

Kiedy usłyszała, że wychodzi, podeszła i siłą zaciągnęła go do łóżka.

- Chcę się umyć...

- Ja cię umyję. Wskakuj pod koc, zanim znów zwalisz się z nóg.

- Nie traktuj mnie jak dziecko - powiedział z taką stanowczością, na jaką go było stać, ale zabrzmiało to raczej żałośnie.

Gdy wreszcie znalazł się w łóżku, przyniosła miskę napełnioną wodą i umyła go całego.

- Uważaj, bo się do tego za bardzo przyzwyczaję - zażartował, kiedy kończyła go wycierać, i spróbował się uśmiechnąć. - Może czeka mnie drugie dzieciństwo?

- Myślałam, że właśnie przez to przeszedłeś. Gdzie trzymasz pidżamy?

Uniósł się na łokciu.

- Pidżamy? Nie bądź śmieszna. Co ja bym robił z pidżamą?

- Spałbyś w niej - zasugerowała sucho i przeszukała szuflady komody. - Masz, załóż to - podała mu spodnie.

Wyszła, żeby się przebrała, a kiedy wróciła, zastała go przewieszzonego przez brzeg łóżka, z założoną jedną nogawką, podczas gdy druga zwisała smętnie na podłogę.

- Zabrakło mi sił - uśmiechnął się przeprasza-
jąco.

Podciągnęła go na środek łóżka, dokończyła ubierania i podała do wypicia rozpuszczone tabletki.

- Wypij to - poleciła.

- Nie chcę - odepchnął jej rękę.

- Ross, proszę! Musisz uzupełnić płyny i elektrolity.

-I to ma niby mi w tym pomóc? - zapytał ironicznym tonem, odwrócił się na bok i po chwili już spał.

Z westchnieniem położyła go na płasko, przykryła kocem i z tęsknotą popatrzyła na wolne miejsce obok niego.

Tylko na chwilę, obiecała sobie. Położyła się i zasnęła, jak tylko przytknęła głowę do poduszki.

O piątej obudził ją Ross. Kręcił się niespokojnie i jęczał.

Uniosła się na łokciu i dotknęła ręką jego czoła. Nie miał gorączki, ale był cały spocony i najwyraźniej cierpiał.

Chwycił go kolejny atak bólu. Poszarzał na twarzy i trzymał się za brzuch.

- Chyba mi pękają jelita - powiedział, kiedy odzyskał głos. - Już nigdy nie zlekceważę nikogo, kto powie, że go boli brzuch. To naprawdę jest okropne!

Obaj chłopcy spali spokojnie, dlaczego więc Ross czuł się tak źle?

- Co jedliście na lunch? - spytała.

- Hamburgery - odparł słabo. - Ja zjadłem dwa, a chłopcy po jednym.

- Może dlatego jesteś w gorszym stanie.

Tym razem zgodził się wypić lekarstwo, po czym ciężko opadł na poduszkę.

Dopiero koło ósmej udało mu się zasnąć na dłużej.

Lizzi zadzwoniła do domu i opowiedziała mamie, co się stało. Potem położyła się w salonie, gdyż nie chciała, żeby chłopcy zastali ją śpiącą obok Rossa.

Wstali przed dziesiątą i ku jej zdumieniu poprosili o śniadanie. Zrobiła im gorzką herbatę i grzanki, i zabroniła jeść smażonych potraw.

- Pomyślcie o ojcu. Jakby się czuł, gdyby doszły do niego zapachy z patelni?

To ich przekonało. Lizzi przyszedł do głowy pewien pomysł.

- O której musicie być z powrotem w szkole?

- O czwartej - odparł Callum z pełną buzią.

- A więc musicie wyjechać o trzeciej. Nie sądzę, żeby tata wstał do tej pory. Znacie drogę?

- Tak, ale mamy ze sobą mnóstwo szpargałów. Nie wiem, czy zmieszczą się w twoim samochodzie.

- To może być problem. A gdybyśmy je tak odesłali?

- Weź mój - usłyszeli.

- Ross! Co ty tu robisz?

- Okropnie się czuję. Jak się macie, chłopcy?

Spojrzeli na niego z powątpiewaniem.

- W porządku - odparł Callum.

-W każdym razie lepiej niż ty - dodał Al. Podszedł do ojca i poklepał go po rękę.

Rzeczywiście, Ross wyglądał koszmarnie. Podkrażone oczy spoglądały z bladej jak płótno twarzy i wydawało się, że schudł przez tę noc co najmniej dziesięć kilogramów. Pogłaskał Alastaira po głowie i oparł się o framugę.

- Do łóżka - powiedziała twardo i pomogła mu wejść po schodach.

Położył się i westchnął.

- Czuję się słaby jak niemowlę - przyznał. - Naprawdę mogłabyś odwieźć chłopców?

- Oczywiście. Inaczej bym tego nie proponowała.

- Pewnie to duże poświęcenie?

- Raczej zboczenie seksualne - zażartowała.

- Zauważyłem - uśmiechnął się.

- Widzę, że wracasz do zdrowia!

- Przykro mi, jeśli czujesz się rozczarowana! - poprawił się na łóżku. - Może spróbowałbym wypić filiżankę herbaty?

- Czy objawy choroby trochę... hmm... zelzały?

- Jesteś taka delikatna, Lizzi. Tak, zelzały. Dziękuję. Tylko że czuję się tak, jakbym stoczył walkę z samym King Kongiem.

- Tak też wyglądasz. Zrobię ci trochę herbaty, a potem masz dalej spać.

- Co za jędra - westchnął i zapadł w drzemkę.

Nawet nie poszła do kuchni, tylko czekała, aż znów się obudzi.

Przed trzecią czuł się znacznie lepiej, ale nie na tyle, żeby pojechać z chłopcami. Ustalili, że Lizzi odwiezie ich do szkoły samochodem Rossa.

Na początku była bardzo zdenerwowana, ale wkrótce nauczyła się go prowadzić. Wymagał w obsłudze znacznie więcej delikatności niż jej metro, chociaż zasady były te same.

Bracia zdawali się nie dostrzegać jej błędów, toteż wkrótce się rozluźniła. Pod koniec jazdy zaczęła nawet sprawiać jej przyjemność. Kiedy byli już prawie na miejscu, Callum pochylił się i dotknął jej ramienia.

- Lizzi? Dziękuję, że opiekowałaś się nami w nocy.
- Nie ma za co - uśmiechnęła się.
- Nie gniewasz się, że cię obraziłem?

Westchnęła ciężko.

- Nie. Sądzę, że nie myślałaś tak naprawdę. Rozumiem cię i wiesz, co ci powiem? Nie musisz się mnie obawiać. Twój tata i ja nigdy się nie pobierzemy.

Zapadła cisza i po chwili Callum odchrząknął i powiedział:

- My... nie mielibyśmy nic przeciw temu. To znaczy, jesteś dla ojca bardzo dobra, a on jest taki samotny. Nie możemy z nim być przez cały czas, a kiedy nas nie ma, chyba jest mu źle. Nie kochasz go?

Och, Boże! To tak, jakby znalazła się z zawiązanymi oczami na polu minowym!

- Bardzo lubimy się z waszym ojcem... - zaczęła ostrożnie.

- Ale on cię kocha - przerwał jej Callum. - Powiedział nam.

- Naprawdę? - Serce Lizzi zaczęło mocniej bić.

- No tak... ale mnie jeszcze tego nie powiedział...

- W takim razie spotykacie się tylko dla zabawy?

- Ally! Nie wypada o to pytać! - zganił go brat.

Gdyby nie była zszokowana tym, co usłyszała, z pewnością wybuchnęłyby śmiechem.

- Mówiąc szczerze, to między mną a waszym ojcem jeszcze do niczego poważnego nie doszło. A gdyby nawet doszło, to rzeczywiście nie powinno was to obchodzić.

- Nie mielibyśmy nic przeciw temu - powiedział Cal.

- Cóż, dziękuję, chłopcy. Powiem tacie, że mamy wasze pozwolenie i zobaczymy, jak zareaguje, dobrze? A teraz pokażcie mi, gdzie jest szkoła.

Zdziwiła się, gdy przy pożegnaniu obaj mocno ją uścisnęli. Poczekała, aż wejdą do środka i pomachała im ręką.

Przy bliższym poznaniu okazali się bardzo sympatyczni i poczuła żal, że nie będzie mogła widywać ich częściej.

Czy Ross naprawdę powiedział im, że ją kocha? Przecież mówił przy niej, że nie ma zamiaru ponownie się żenić. O co naprawdę mu chodzi? Najwyższy czas, żeby się tego dowiedzieć.

Kiedy wróciła, spał na kanapie. Wyglądał tak niewinnie i bezbrinnie, że poczuła nagłą chęć, żeby go przytulić. Usiadła obok i odgarnęła mu z czoła kosmyk włosów. Poruszył się i otworzył oczy.

- Lizzi? - mruknął zaspanym głosem.

- A któżby inny? Jak się czujesz?

- Lepiej. Odwiozłaś chłopców?

- Tak. Piłeś coś, kiedy mnie nie było?

- Daj spokój - powiedział i obrócił się na plecy. Koszula wysunęła mu się ze spodni, ukazując wąski pasek brzucha. Lizzi z trudem oderwała wzrok od tego miejsca.

Zabawne! Przez całą noc, kiedy chodził po domu tylko w slipkach, nie robiło to na niej żadnego wrażenia. Dopiero teraz poczuła nieodpartą chęć, by go dotknąć.

Zakasłała nerwowo i Ross roześmiał się.

- No śmiało, dotknij mnie - zachęcał ją.

- Co? - zdołała wyjąkać.

- Dotknij mnie, Lizzi.

Wstała i podeszła do okna.

- Dlaczego miałabym to zrobić?

- Bo mnie pragniesz. A także dlatego, że ja pragnę ciebie. Spróbuj. Może nadszedł już czas, żeby sobie ten fakt uświadomić.

Założyła ręce na piersiach i obróciła się, żeby na niego popatrzeć.

- Nie wiem, czy w ogóle cokolwiek powinniśmy sobie uświadamiać - powiedziała wolno.

- Słucham? - Ze zdziwienia uniósł się na łokciu.

- A co twoim zdaniem nas łączy?

Podniósł się i schował koszulę w spodnie.

- Tego się właśnie obawiałem - mruknął, poprawiając nerwowym ruchem włosy. Robił wrażenie, jakby za chwilę miał wybuchnąć.

- Callum powiedział, że mnie kochasz.

Podniósł głowę i spojrzał na nią z uwagą.

- Naprawdę?

- Tak. Dziś w samochodzie. Stwierdził, że powinieneś się ożenić. Głuptas - zaśmiała się gorzko.

- Wcale nie taki głuptas. Tak się składa, że myślę podobnie jak on...

- Co? Przecież powiedziałaś mu, że nigdy tego nie zrobisz!

- Kiedy tak powiedziałem?

- Och, Boże! Chyba we wtorek... Cal był wtedy na mnie taki wściekły. Martwił się, że jak się ożenisz, to nie będzie dla niego miejsca w twoim życiu. Odparłeś mu, że...

- Że nigdy nie przestanie być dla mnie ważny, a nie, że się nie ożenię!

Ze zdumienia nie mogła wykrztusić z siebie słowa.

- Wyglądasz na zakłopotaną.

- Bo jestem. Myślałam... do diabła! Myślałam, że chodzi ci tylko o nie zobowiązującą znajomość...

- Nie. Mówiłem już kiedyś, że pragnę ciebie całej: twojego umysłu, serca i ciała. Kocham cię, Lizzi.

Próbowałem dać ci czas, żebyś oswoiła się z tą myślą, ale dłużej już nie mogę czekać. Potrzebuję cię, kochanie. Potrzebuję cię teraz!

- Och, Boże, nie! - szepnęła, czując, jak wali jej serce.

W jego głosie było tyle emocji, tyle pasji w spojrzeniu, że nie wiedziała, co powiedzieć.

- Ale... - zwilżyła usta końcem języka. - Musisz dać mi więcej czasu...

- Ciągłe to powtarzasz. Jak długo każesz mi jeszcze czekać? - pytał pełnym bólu głosem. - Tydzień? Rok? Całe życie?

- Nie poganiaj mnie...

- Dlaczego? - Gwałtownie wstał z łóżka i podszedł do niej. Był teraz tak blisko, że czuła bijący od niego żar. - Dlaczego mam cię nie poganiać?

- To nie w porządku...

- A to co ty robisz ze mną jest w porządku? Do diabła, Lizzi, kocham cię! Czy to dla ciebie nic nie znaczy?

- Nie mów tak! - krzyknęła. - Nigdy nie chciałam sprawić ci bólu, Ross, ale tak się boję!

W jednej chwili przytulił ją do piersi i zaczął wolno kołysać.

- Nie masz się czego bać. Jestem przy tobie. Zawsze będę. I nigdy cię nie skrzywdzę...

Delikatnie dotknął ustami jej warg, a ona przywarła do niego całym ciałem. Zaczął całować jej włosy, szyję, kark, jakby chciał w jednej chwili skosztować słodczy całego jej ciała.

- Kocham cię - szepnął.

- Ross, nie! - krzyknęła z desperacją. W jej głosie było coś, co nakazało mu przestać. Puścił ją i spojrzał oczami pełnymi bólu.

- Dlaczego? Czego się tak boisz?

Po policzku Lizzi potoczyła się pojedyncza łza.

- Jeśli teraz zostanę, jeśli pozwolę ci się kochać, to będzie koniec. Kiedy odejdziesz, będzie po mnie.

- Ale ja nigdzie nie chcę odejść, kochanie.

- Mógłbyś... mógłbyś mnie zostawić, tak jak Ann zostawiła ciebie, albo... albo jak David...

Głos Lizzi załamał się i nie mogła już mówić dalej.

- A więc o to chodzi - westchnął. - Pozwól, że zapytam cię wprost. Czy masz zamiar pozbawić nas szczęścia tylko dlatego, że któreś z nas mogłoby umrzeć?

- To się zdarza! Mnie się to przytrafiło i mojej mamie, i Jennifer Adams. Wierz mi, Ross, takie wypadki chodzą po ludziach!

- A dlaczego nie zakładasz drugiej ewentualności? Dlaczego uważasz, że nie możemy żyć w zdrowiu i szczęściu? To dużo bardziej prawdopodobne!

- Ross, nie wiesz, jak to jest stracić kogoś bliskiego...

- Ale umiem to sobie wyobrazić. Oczywiście nie mogę ci obiecać, że będę żył wiecznie. Mogę ci jedynie przysiąc, że dopóki będę żył, nigdy cię nie opuszczę i zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby uczynić cię szczęśliwą!

- Ross, nie mogę podjąć tego ryzyka - powiedziała z oczami pełnymi łez. - Jeśli teraz odejdę, będzie okropnie, ale jeśli zostanę... Nie mogę! Tak mi przykro! Tak bardzo mi przykro...

- Zrób dla mnie tylko jedną rzecz - poprosił. - Spójrz mi w oczy i powiedz, że mnie nie kochasz.

- Nie mogę! - wydusiła.

W milczeniu zamknął oczy.

- Więc idź, skoro musisz - usłyszała zduszony szept.

Spojrzała na jego wymizerowaną, smutną twarz i wyszła.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Tak podle, jak tego wieczora, nie czuła się chyba w ciągu całego życia. Nawet po śmierci Davida było inaczej. Doznała wtedy szoku, a poza tym musiała zająć się ciężko ranną matką, co w znacznej mierze osłabiło ból, przynajmniej na początku. Potem w jej uczuciach dominowała złość na pijanego kierowcę, który był odpowiedzialny za śmierć Davida.

Teraz pozostała sam na sam ze swą rozpaczą. Bolało ją gardło, pękała głowa, nie mogła ani jeść, ani spać. W pracy całą uwagę skupiała na unikaniu Rossa. On sam był ujmująco grzeczny, ale jednocześnie obcy, daleki, jakby zupełnie nieznajomy.

Wyglądał okropnie. Cienie pod oczami podkreślały bladość policzków, a zwykle roześmiane oczy były przygaszone i zupełnie pozbawione życia.

Koledzy oczywiście zauważyli zmianę, jaka zaszła w ich wzajemnych stosunkach. James Hardy, starszy asystent Rossa, był w stosunku do niej chłodny i wyniosły, a Amy Winship i Lucy Hallett na każdym kroku okazywały współczucie. Lizzi była wdzięczna Lucy, że chodzi z Rossem na obchody. Dzięki temu mogła rzadziej go widywać.

Najgorsze były przerwy. Pierwszego dnia weszła do świetlicy i skierowała się w stronę stolika, przy którym zwykle siadywali ze znajomymi, ale kiedy dostrzegła wśród nich Rossa, zatrzymała się w połowie drogi. Spojrzał na nią, lekko skinął głową i wyszedł. W rozmowach koledzy starali się omijać drażliwe tematy, ale czasami było to nie do uniknięcia.

Bomba wybuchła w czwartek. Już od samego rana ten dzień zaczął się pechowo. Kiedy wjeżdżała na szpitalny parking, omal nie zderzyła się z samochodem Rossa. Uśmiechnął się do niej lekko i skinął ręką z wyszukaną uprzejmością. Szarpnęła dźwignię biegów, ale oczywiście nie zdołała wrzucić wstecznego. Ross roześmiał się już całkiem głośno, lecz kiedy ich spojrzenia na chwilę się spotkały, dostrzegła w jego oczach prawdziwą rozpacz.

Wrzuciła bieg i podjechała na koniec parkingu. Ross zatrzymał się dokładnie po przeciwnej stronie. Spotkali się przy drzwiach wejściowych i Ross zatrzymał się, żeby przepuścić ją przodem.

Przeszła obok mamrocząc jakieś niewyraźne dzięki i pospiesznie zeszła do szatni.

Ross miał rano dwie operacje, więc bez obawy poszła w czasie przerwy na kawę do pokoju rekreacyjnego.

Przed tablicą z ogłoszeniami stał tłum ludzi, ale nie zwróciła na to większej uwagi. Ponieważ nie było nikogo ze znajomych, usiadła sama przy stoliku, ignorując dziwne spojrzenia w jej stronę. Po chwili do pokoju weszła Bron.

Obrzuciła uważnym spojrzeniem grupkę ludzi i podeszła do tablicy. Lizzi usłyszała jej zduszony krzyk. Wstała i zbliżyła się do Bron.

- Kolejny popis? - spytała. - Co wymyślił tym razem?

Bron popatrzyła na nią niepewnym wzrokiem i odsunęła się.

Lizzi spojrzała na rysunek. Przedstawiał ogromną szafę składającą się z niezliczonej liczby szuflad. Jedna z nich była otwarta, a w środku leżał skulony Ross z mieczem na piersiach. Lizzi zamykała ją z impetem, a na jej twarzy wyraźnie było widać tryumfujący uśmiech. Podpis głosił:

„Nastał Wielki Mróz! Pokonanie Yeti oznacza początek kolejnej epoki lodowcowej! Wiwat Lodowa Góra!”

Łykając łyzy, odwróciła się na pięcie i wybiegła z pokoju, niemal zderzając się w drzwiach z Rossem i Oliverem.

- Lizzi? Co się stało?

Ignorując pytanie Rossa pobiegła korytarzem i wyszła do ogrodu. Usiadła na ławce i, nie bacząc na płynące po policzkach łyzy, czekała aż ból minie.

- Chyba znajdziemy odpowiedź na tablicy - mruknął Oliver.

- Co? - spytał Ross, odrywając wzrok od znikającej na schodach sylwetki Lizzi.

- Zobaczmy.

Kiedy Ross ruszył w kierunku tablicy, zgromadzony tłum w popłochu rozpiezchnął się na boki.

- A to drań! - zaklął. W jednej chwili odgadł sugestie autora. Zdjął rysunek i wcisnął go do kieszeni, po czym skierował się do wyjścia. W drzwiach natknął się na profesora Barrimore'a.

- Ach, doktor Hamilton! Właśnie chciałem zamienić z panem słowo...

Z trudem się opanował. Oddychał szybko przez zaciśnięte zęby i profesor spojrział na niego podejrzliwie.

- Coś cię gnębi, chłopcze?

Ross wyciągnął rysunek i pokazał go profesorowi.

- Ach, kolejne arcydzieło. Muszę przyznać, że poprzednie były nawet zabawne, choć ten wydaje się być raczej w złym guście...

- Powinien pan, profesorze, odnaleźć tego drania, zanim ja to zrobię, albo będzie pan miał jednego pracownika mniej!

Starszy pan powolnym ruchem poprawił okulary.

- Mocno powiedziane, drogi kolego, nie uważa pan?

- Nie widział pan siostry Lovejoy. Jeśli sądzi pan, że reaguję zbyt żywiołowo, sugerowałbym przejrzeć jej akta personalne. Bank pogrzebowych szuflad to ostatnia rzecz, która może jej się wydać zabawna!

Przeszedł obok zdziwionego profesora i podążył w kierunku, w którym pobiegła Lizzi. Nie znał dobrze rozkładu całego szpitala i nie miał wielkiej nadziei, że ją znajdzie. Po bezowocnych poszukiwaniach wrócił na oddział i odkrył, że Lizzi jest u siebie.

- Gdzie byłeś? - spytała drewnianym głosem.

- Dzwonili po ciebie. Na bloku czeka pacjent...

- Wszystko w porządku, Lizzi? - Napotkała jego zatroskany wzrok.

- Tak - szepnęła.

- Dostanę go. Dowiem się, kto to jest i zajmę się nim.

Obrócił się na pięcie i wyszedł z pokoju.

Lizzi opadła na krzesło i wybuchnęła płaczem.

Dopiero podczas przerwy na lunch udało mu się odnaleźć winowajcę. Właśnie wychodził z sali pooperacyjnej, kiedy zauważył, że jeden z młodych chirurgów energicznie ściera z palca czarną plamę od atramentu.

- Mam cię - szepnął do siebie.

Dochodziła druga, kiedy Mitch Baker skończył operować i wrócił do pokoju w internacie. Przy drzwiach czekał na niego Ross.

- W samą porę - mruknął.

- Czym mogę służyć? - zapytał z szerokim uśmiechem Mitch.

- Nie tutaj. Wejdzmy do środka - wskazał głową drzwi pokoju Mitcha.

- Może pójdziemy do baru? Napijemy się kawy...

- Nie! Wejdzimy do twojego pokoju! Wierz mi, nie chciałbyś usłyszeć w publicznym miejscu tego, co mam ci do powiedzenia!

Mitch spojrział ze zdziwieniem na swego pryncypała i sięgnął po klucz.

Pod oknem stał stół, cały zarzucony ołówkami, pisakami, butelkami tuszu, kartkami papieru i całym mnóstwem szkiców Rossa i Lizzi.

Ross zamknął drzwi i odwrócił się w stronę Mitcha.

- Czy w ogóle masz pojęcie, co zrobiłeś? - zaczął.

- To przecież tylko żarty...

- Żarty? Doprawdy, masz przedziwne poczucie humoru!

Rozłożył przed Mitchem ostatni rysunek.

- Co to jest?

- Pan w zamrażarce...

- Z małą poprawką. To jest zamrażarka w kostnicy!

- No i co z tego?

- Co z tego? - stanął nad nim, celując wskazującym palcem w pierś. - Powiem ci, co z tego! Lizzi Lovejoy jest wdową! Nawet gdybyś chciał, nie mógłbyś zrobić jej większej krzywdy!

Twarz Mitcha lekko pobladła.

- Nie miałem pojęcia. Przepraszę ją...

- Jeszcze jak ją przeprosisz! Czy zdajesz sobie sprawę, że w ciągu ostatnich czterech tygodni dopuściłeś się kilku poważnych wykroczeń? Nieprawidłowo zamocowałeś dren, wywołałeś u pacjentki niedrożność porażenną jelit, a teraz jeszcze to! Powinieneś poświęcić swój cenny czas na doskonalenie umiejętności zawodowych, a nie na pisanie paszkwili na swych przełożonych! Jeśli koniecznie chcesz rysować obrazki, to radzę skopiować kilka pozycji

z atlasu anatomicznego! - Nabrał głęboko powietrza i ściszył głos. - Będę miał na ciebie oko, doktorze Baker. Od dziś będziesz operował tylko ze mną. Nie obchodzi mnie, co powiedzą na to inni. Dopóki nie uznam, że reprezentujesz odpowiedni poziom zawodowy, będziesz pracował tylko pod kontrolą. Moją, albo doktora Hardy'ego. Czy wyrażam się jasno?

Mitch przytaknął, nie podnosząc głowy.

- Chcę, żeby w ciągu piętnastu minut na biurku siostry Lovejoy znalazły się pisemne przeprosiny. I więcej nie waż się wtrącać nosa w jej prywatne sprawy. O mnie możesz mówić, co tylko zechcesz, ale ją masz zostawić w spokoju. Zrozumiałeś?

Po raz kolejny Mitch skinął głową.

- Będę teraz u siebie. Masz przyjść do mnie, jak tylko zanieziesz jej te przeprosiny na piśmie. A jeśli zawołają cię na blok operacyjny, chcę o tym wiedzieć. Pójdę razem z tobą. Jasne?

- Tak, proszę pana - westchnął ciężko. - Przepraszam za te rysunki. Nie chciałem nikogo skrzywdzić. Nie zdawałem sobie sprawy. Ona zawsze była taka oschła, zamknięta w sobie. Nikt nie wiedział dlaczego. Wszystkim wydawało się, że to osoba pozbawiona wszelkich uczuć. Żadnemu z nas nie przyszło do głowy, że ma ku temu jakiś powód. Naprawdę nie zrobiłbym tego, gdybym znał prawdę.

Ross uśmiechnął się lekko.

- Nie tylko ty się pomyliłeś, Mitch - powiedział enigmatycznie i zostawił swego asystenta sam na sam z jego sumieniem.

Dzięki Bogu tego dnia miała tylko ośmiogodzinny dyżur. Wracając do domu marzyła jedynie o filiżance herbaty i własnym łóżku. Niestety, kiedy przekroczyła próg, ujrzała matkę i Edwarda obej-

mujących się czule na kanapie w salonie. Wyglądali jak para zakochanych nastolatków.

Stanęła w pół kroku, a matka podniosła głowę.

- Witaj, kochanie. Wcześniej dziś wróciłaś!

- Najwyraźniej za wcześnie.

Na twarzy matki odbiło się zdziwienie, ale Lizzi zupełnie się tym nie przejęła. Nie była w nastroju do oglądania własnej matki tulącej się do obcego mężczyzny.

- Czy nikt ci nigdy nie powiedział, że jesteś pruderyjna? - spytała cicho matka.

- Przepraszam - odparła czerwieniąc się. - Miałam okropny dzień. Ktoś zawiesił kolejny rysunek...

- przerwała i odwróciła głowę. - Napijcie się herbaty?

- Edward nam robi. Chodź tu, mam ci coś do powiedzenia.

Podeszła do matki i przysiadła na brzegu krzesła.

- Strzelaj!

- Edward poprosił mnie o rękę i zgodziłam się. Oczywiście przeprowadzę się do niego. Mieszkanie przepiszę na ciebie, więc będziesz miała je na własność. Zresztą i tak kiedyś byłoby twoje...

Lizzi wybuchnęła płaczem i pobiegła do pokoju. Jak matka mogła mówić do niej w ten sposób? Jak mogła zgodzić się wyjść za Edwarda? Jak mogła podjąć to ryzyko? Co będzie ze mną? - załkała i rzuciła się na łóżko.

Usłyszała, że ktoś siada obok niej i poczuła na ramieniu czyjaś ciepłą dłoń.

- Czy to naprawdę taka tragedia, że twoja matka ponownie może czuć się szczęśliwa?

Pociągnęła nosem i zdusiła szloch.

- Zostaw mnie - zachlipała.

- Nie. Muszę z tobą porozmawiać. Oboje z mamą bardzo się o ciebie martwimy. Usiądź, wytrzymaj nos i posłuchaj, co mam ci do powiedzenia.

Wstała i sięgnęła po chusteczkę.

- Czuję się jak idiotka. Zupełnie nie wiem, co mnie napadło...

- Wyglądasz okropnie. Co się stało z tą uroczą, roześmianą dziewczyną, którą poznałem kilka tygodni temu?

Twarz Lizzi skurczyła się z bólu.

- Ross chce, żebym za niego wyszła.

-I co?

- Nie mogę! - krzyknęła. - O niczym innym nie marzę, ale nie mogę tego zrobić!

- Dlaczego?

- Boję się - wyszeptała.

- Doprawdy? A może czujesz się winna za to, że żyjesz, chociaż David zginął?

-Nie!

- Jesteś pewna? Ja także przez to przeszedłem, więc wiem, co mówię. Jeśli masz poczucie winy, to powinnaś sobie uświadomić, że jest ono absolutnie bezpodstawne. Oczywiście jego śmierć była tragedią, ale życie toczy się dalej i trzeba umieć mu stawić czoło. Każdy dzień, który mija, jest stracony na zawsze. Masz tylko jedno życie i nie stać cię na to, żeby roztrwonić je z powodu nieuzasadnionej winy!

- Ale ja tak się boję znów kogoś pokochać!

- Popraw mnie, jeśli się mylę, ale ty przecież już go kochasz, prawda? Obawiasz się jedynie swoich uczuć. Boisz się, że będziesz zmuszona żyć bez niego i że twoje życie nie będzie wtedy miało żadnego sensu. Lizzi, spójrz na siebie! Pragniesz go, a przecież on żyje. Jest tam, pełen życia i miłości do ciebie, a ty siedzisz tutaj bojąc się wyznać mu, co czujesz!

Dotknęła ręką ust.

- Boże, byłam taka głupia! Oczywiście, że go kocham. Niezależnie od tego, co się stanie, nie może

być gorzej, niż jest teraz. Siedzę tutaj i myślę o nim, jakby nie żył. Och, Edwardzie, dziękuję!

Uścisnęła go i pobiegła do salonu.

- Mamo, przepraszam, że byłam taka okropna! Nie chciałam sprawić ci przykrości, ani cię urazić. Mam nadzieję, że będziecie razem bardzo szczęśliwi.

- Ucałowała matkę i usiadła obok niej. - Jadę teraz do Rossa. Musimy wyjaśnić kilka spraw. Uważam, że wychodzisz za mąż za najbardziej rozsądnego człowieka, jakiego zdarzyło mi się kiedykolwiek spotkać! - dodała z uśmiechem.

Mary i Edward wymienili porozumiewawcze spojrzenia i matka poklepała Lizzi po rękę.

- Cieszę się, kochanie, że wreszcie doszłaś sama ze sobą do porozumienia. Tak bardzo się o ciebie martwiłam.

- Dam sobie radę. Pojadę do niego, jak tylko wróci. A jeśli chodzi o dom, to mam nadzieję, że nie będę go potrzebować!

Wróciła do sypialni i zatrzymała się przed toaletką. Ze srebrnej ramki patrzył na nią roześmiany młody człowiek. Z czułym uśmiechem wzięła fotografię do ręki i ostrożnie włożyła ją do szuflady. A potem rozpięła wiszący na szyi łańcuszek i zsunęła z niego obrączkę, którą nosiła nieprzerwanie przez siedem lat. Popatrzyła na nią przez chwilę, a potem schowała do pudełeczka z biżuterią i zatrzasnęła wieczko.

Kiedy stanęła przed drzwiami domu Rossa, dobiegły ją ponure dźwięki klarnetu. Nikt nie odpowiedział na dzwonek, więc nacisnęła klamkę i weszła do środka.

Muzyka dochodziła z salonu, więc tam właśnie skierowała swe kroki. Serce podeszło jej do gardła, a dłonie zwilgotniały ze strachu. Nerwowym ruchem

wytarła je w śliski materiał sukni, którą postanowiła właśnie dziś włożyć. Była to ta sama suknia, którą kupiła specjalnie na przyjęcie Rossa. Skoro podjęła już decyzję, postanowiła wykonać ją najlepiej, jak umiała, choć wymagało to wiele odwagi.

Pokonała ostatnie stopnie i stanęła w progu, pozwalając oczom chłonąć widok, który napawała ją taką radością.

Ross stał przodem do okna, z ręką opartą o ramię. Drugą rękę trzymał w kieszeni szortów. Nie miał na sobie koszuli.

Wolno przesunęła wzrokiem po jego szerokich, nagich ramionach, szczupłej talii i silnych, długich nogach. Łagodne światło, wpadające przez okno, pozwoliło jej wyraźnie dostrzec jasne włosy, które je pokrywały.

Pomimo zdenerwowania, uśmiechnęła się. Oto patrzyła na wspaniałego, pięknego mężczyznę, który ją kochał i któremu postanowiła oddać całą siebie.

W końcu, jakby czując czyjąś obecność, odwrócił się i zaskoczony spojrzał na Lizzi.

- Nie słyszałem dzwonka - odezwał się szorstko. Wolno podszedł do magnetofonu i ściszył muzykę.

- Wiem. Mam nadzieję, iż nie gniewasz się, że weszłam?

- Nie. Potrzebujesz czegoś?

Skinęła głową. Ciebie - chciała powiedzieć, ale słowa uwięzły jej w gardle.

- Chciałabym porozmawiać.

W oczach Rossa dostrzegła cień nadziei, który jednak szybko zgasł.

- Pozwolisz, że się ubiorę? Czuję się trochę skrępowany...

Podszedł do niej i Lizzi z wrażenia zakręciło się w głowie.

- Jeśli o mnie chodzi, nie ma takiej potrzeby
- szepnęła.

- Słuchaj, o co ci naprawdę chodzi?

Głęboko nabrała powietrza w płuca.

- Powiedziałeś, że zaczekasz, aż będę gotowa. Powiedziałeś też, że chcesz mnie całej: mojej duszy, umysłu i ciała. Nie wiem, czy warto chcieć tego wszystkiego, ale jeśli nie zmieniłeś zdania, to właśnie przyszedłem, żeby ci powiedzieć, że pragnę dać ci to... Mam nadzieję, że nie jest za późno. Musisz tylko upewnić mnie co do jednej rzeczy. Odniosłam wrażenie, że chcesz się ze mną ożenić. Czy to prawda?

W milczeniu patrzył na nią przez chwilę, która wydała jej się wiecznością. W końcu uśmiechnął się.

- Tylko wrażenie? Wydawało mi się, że byłem bardziej przekonujący.

- Cóż, nie powiedziałeś tego dokładnie i ...

- Niedopatrzenie.

Choć ciągle się uśmiechał, jego oczy pozostały poważne.

- Pozwól, że je naprawię.

Ujął jej rękę i uklęknął.

- Ross, nie wygłupiaj się.

- Nie chcę, żebyś miała jakiegokolwiek wątpliwości.

A teraz, Elizabeth, skoncentruj się. - Nabrał głęboko powietrza i zaczął mówić. - Przez ostatnie tygodnie stałaś się dla mnie kimś bardzo ważnym. Nie zawsze było łatwo. Rozbiłaś mój nowy samochód, wrzuciłaś mnie do basenu, naraziłaś na wiele upokorzeń, kiedy byłem chory...

- Co za niewdzięczność!

- Proszę nie przerywać! Przez ciebie straciłem wątek. Co to ja mówiłem?

- O upokorzeniach!

- Aha. Ale pomimo tego zdołałaś jednak dotrzeć do mego serca.

Uśmiech zniknął z twarzy Rossa. W tej chwili wyrażała ona tylko miłość i oddanie.

- Kocham cię, Lizzi. Mogę obiecać ci tylko to, że dopóki będę żył, uczynię wszystko, żebyś była szczęśliwa. Chcę zapewnić ci finansową i uczuciową stabilizację. Nigdy cię nie zostawię, nie zdradzę i celowo nie zranię. Obiecuję ci moją dozą przyjaźń, towarzystwo i miłość.

Zamknął oczy i Lizzi uklękła naprzeciw niego.

- Ciągłe nie poprosiłeś mnie o rękę - zażartowała, choć wzruszenie ścisnęło ją za gardło.

- Boję się - szepnął.

- Czego? - zapytała w najwyższym zdziwieniu.
- Myślałam, że tego chcesz!

- Boję się, że powiesz „nie”...

- Nie zrobię tego, Ross. Kocham cię - zapewniła go miękko.

Objął ją i z całej siły przycisnął do piersi.

- Zważyłem już, że kiedykolwiek to usłyszę - szepnął. - Och, Boże, tak bardzo cię kocham...

Wyswobodziła się z jego objęć i popatrzyła z udaną surowością.

- Ciągłe jeszcze tego nie zrobiłeś.

Uniósł jedną brew i uśmiechnął się.

- Niektórych ludzi strasznie trudno zadowolić. Elizabeth, czy uczynisz mi ten honor i zechcesz zostać moją żoną?

- Tak - odparła krótko i wstała, biorąc go za rękę.

- Dokąd mnie ciagniesz?

- Do łóżka. I tak straciliśmy już mnóstwo czasu. Zatrzymał się i Lizzi stanęła także.

- Co się stało?

- Teraz nie możemy.

- Dlaczego?

- Zabezpieczyłaś się? -

Zaprzeczyła. W jej głowie zaczęła rodzić się przerażająca myśl.

- Czy naprawdę byłaby to dla ciebie taka tragedia, gdybym zaszła w ciążę? - spytała cicho. - Zrozumieć, jeśli powiesz, że nie chcesz więcej dzieci. Chłopcy są wspaniali i pewnie uważasz, że dwoje wystarczy...

- Nawet nie wiesz, jak pragnąłbym dać ci dziecko. Chciałbym patrzeć, jak twoje łono powiększa się, jak rodzą się nasze dzieci, być z tobą, kiedy ząbkują i kiedy zaczynają chodzić. Nie tylko w weekendy i w wakacje, ale przez cały czas. Tragedia? To byłaby największa radość mojego życia...

Bez słowa przytuliła się do niego i ich usta złączył namiętny pocałunek. Wziął ją na ręce, zaniósł do sypialni i położył na samym środku ogromnego łóżka.

- Dlaczego założyłaś tę suknię? - spytał całując ją w szyję.

- Powiedziałaś, że chciałbyś ją ze mnie zdjąć i całować każdy centymetr...

- Pamiętam - powiedział z uśmiechem. - Obiecujesz, że nie wrzucisz mnie do wody?

- W każdym razie nie tym razem.

- Złościca.

Odnalazł ręką suwak i wolno rozsunał go do samego dołu. Gorące pocałunki znaczyły każdy kawałek skóry, która stopniowo wyłaniała się spod cienkiego jedwabiu. Kiedy doszedł do bioder, niecierpliwym ruchem ściągnął z niej suknię, a potem bieliznę.

Leżała naga. Chciała się zakryć przed jego wzrokiem, ale powstrzymał ją gestem ręki.

- Nie. Pozwól mi patrzeć na siebie.

Oddychał ciężko. Po chwili wstał i nie spuszczać z niej wzroku, wolno zsunął szorty.

- Och, Lizzi - szepnął i położył się obok niej.

Ich ciała splotły się w namiętym uścisku, a serca biły zgodnym rytmem. Tak długo czekali na siebie, tak bardzo się pragnęli, że teraz, kiedy nadeszło spełnienie, świat wokół nich przestał istnieć. Liczyli się tylko oni, ich pocałunki, pieszczoty i uściski. W zapamiętaniu powtarzali swoje imiona i szeptali słowa miłości. Aż w pewnej chwili słowa stały się zbyteczne. Przeżywali rozkosz, której żadne słowo nie było w stanie oddać.

Kiedy oprzytomnieli, poczuła, że pierś Rossa, na której opierała głowę, drży.

- Śmiejesz się, czy płaczesz?

- Nie jestem pewien. Mój Boże, to było coś zupełnie innego!

Zamknął oczy i przytulił ją do siebie, a potem przewrócił się na bok, pociągając ją za sobą.

- Kocham panią, pani Hamilton! - krzyknął.

- Jeszcze nie jestem panią Hamilton - zaprotestowała ze śmiechem.

- Sprawdzam, jak to brzmi.

Przesunęła palcem po ustach Rossa. Chwycił go zębami i zamruczał jak kot. Uśmiechnęła się, zupełnie rozbrojona.

- Pieszczoch z ciebie - szepnęła.

Tym razem zamruczał głośniej.

- Tygrys - powiedziała bez tchu.

W jednej chwili uniósł się nad nią i spojrzał prosto w oczy.

- Powiedz, że mnie kochasz - rozkazał.

- Kocham cię.

- Jeszcze raz.

- Kocham cię. Czy myślisz, że jestem już w ciąży?

- Nie wiem - uśmiechnął się. - Chyba nie. Po co się tak spieszyć?

Przymknęła oczy.

- No, nie wiem. Robisz się okropnie stary, Ross. Nie mamy zbyt wiele czasu... och!

Otworzyła oczy i roześmiała się zduszonym śmiechem.

- Jak to zrobiłeś?

- Pokażę ci, co to znaczy mówić, że jestem stary!

- odparł zamykając jej usta pocałunkiem.

Kilka godzin później siedzieli na łóżku i zajadali kanapki z serem, popijając je herbatą.

- Ale dobrze - zamruczał z rozkoszą Ross i wyciągnął się na łóżku.

- Wyglądasz jak najedzony do syta kot.

- I tak się czuję - uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Pani Hamilton, pani umiejętności przeszły moje najśmielsze oczekiwania.

Zaczerwieniła się.

- To samo mogę powiedzieć o tobie. Nawet sobie nie wyobrażałam, że można zrobić tyle rzeczy w ciągu jednej nocy.

- Lizzi, czy nie powinnaś zadzwonić do matki i powiedzieć jej, gdzie jesteś?

- O trzeciej nad ranem? - zachichotała. - Chyba nie byłaby zadowolona. Zresztą zdaje się, że doskonale wie, gdzie jestem. Myślę, że ona bardziej w ciebie wierzyła niż ja sama.

Obrócił się na bok i podparł głowę ręką.

- Dlaczego tu dzisiaj przyszedłeś?

- To dzięki Edwardowi. Uświadomił mi, że cię kocham i że nic mi nie da unikanie twojej osoby, bo jedyną rzeczą, jakiej pragnę, jest bycie z tobą.

- Amen - zakończył Ross. - Dostałem list od chłopców. Piszą, że bardzo im się spodobałaś i że nie mogą się doczekać, kiedy za mnie wyjdiesz. Nawet go nie dokończyłem czytać. Nie mogłem przebrnąć przez fragment, w którym piszą o tobie.

Objęła go i przytuliła do siebie.

- Przepraszam - szepnęła mu w szyję. - Nigdy już cię nie zostawię.

Odwzajemnił uścisk i zapadli w mocny, zdrowy sen.

Ross wstał o siódmej i od razu pojechał do szpitala.

Kiedy o ósmej przyszła do pracy, cały oddział był dziwnie poruszony. Lucy Hallett spojrzała na nią przeciągle, a Mitch Baker wyraźnie jej unikał.

Ross przyszedł kwadrans po dziesiątej i zaprosił ją na kawę. Na jego widok nie mogła powstrzymać uśmiechu.

- Cześć, skarbie - powitał ją i pocałował w policzek. - Chodź, nie możemy pozwolić, żeby wszyscy na nas czekali.

- Wszyscy?

Uśmiechnął się tajemniczo i nic nie powiedział.

Kiedy weszli do pokoju rekreacyjnego, dostrzegła, że wokół tablicy z ogłoszeniami stał jak zwykle tłum ludzi. Na ich widok odwrócili się i zaczęli wiwatować.

Lizzi ze zdziwieniem spojrzała na Rossa.

Uśmiechnął się i puścił ją przodem. Zebrany tłum rozstał się przed nimi i wtedy zobaczyła wielki plakat, ozdobiony konfetti i srebrnymi podkowami. Przedstawiał ją i Rossa, pochylających się nad weselnym tortem. Ona była ubrana w ślubną suknię, on miał na sobie frak, a na głowie cylinder. Podpis głosił:

„Lodowa Góra pokonana przez Yeti! Koniec zimnej wojny! Młoda para uda się w podróż poślubną w Himalaje, gdzie powita ich liczna rodzina pana młodego!”

Roześmiała się.

- Opowiedz mi o swojej mamie... Jaka ona jest?
- zapytała podejrziwym tonem.

- Cóż, jest ogromna, bardzo owłosiona i...

Wśród ogólnej wesołości pochylił się i mocno ją ucałował.

- Doktorze?

Podniósł głowę z głośnym jękiem.

- Baker, jeszcze mało narozrabiałeś?

Mitch z zakłopotaniem potarł brodę.

- Podoba się panu? Nie miałem za wiele czasu.

- Dziękuj Bogu, że nie zadzwoniłem o czwartej rano, żeby zapytać, jakie robisz postępy!

- O czwartej rano spałeś jak zabity - wtrąciła Lizzi i natychmiast oblała się rumieńcem.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Nie, nie wszyscy. Mitch Baker, na szczęście, w porę się opanował. On jeden miał bardzo poważną minę.